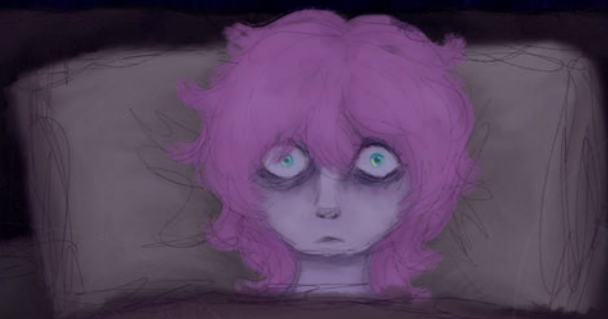


FoBia Wędrall

ANTOLOGIA PADEREWSKI



Fobia wiatru
Antologia opowiadań

Lublin 2023

Fobia wiatru

Wyrazy wdzięczności za udzielone tej publikacji
wsparcie finansowe niech przyjmą:

Państwo Małgorzata i Krzysztof Cegłowski

Pani Wiesława Chibowska

Pani Katarzyna Chróścik

Pani Dorota Kowalczuk

Pani Agnieszka Niedziałek

Pani Katarzyna Sacharuk

Państwo Anna i Filip Stoma

anonimowi darczyńcy

oraz Pani Agnieszka Bojczuk
(dyrektor MLO Paderewski)

Fobia wiatru

Antologia opowiadań
MLO Paderewski

Lublin 2023



PADEREWSKI
KSZTAŁCI I INSPIRUJE



Redakcja i korekta

Piotr Kalwiński
Michalina Łata, Kacper Warda

Rysunek na obwolucie

Remi Chibowska

Skład i łamanie, druk oprawa:

MULTIPRESS G. Wodecki, D. Wodecka, B. Wodecki Sp.J.
www.multipress.com.pl

Wydawca:

MLO Paderewski w Lublinie

Współwydawca:

MULTIPRESS G. Wodecki, D. Wodecka, B. Wodecki Sp.J.

ISBN 978-83-962692-7-0

Antologia opowiadań wydana w celach edukacyjnych
w nakładzie 100 egz.

Książka nie przeznaczona do sprzedaży

Wstęp

Ankraofobia – jest takie słowo, choć raczej o nim nie słyszeliście. W naszej ponoć przewrażliwionej epoce młodym w głowach się przestawia. Zamiast poważnych, klasycznych lęków i strachów rodzą się w nich *śmieszne* obawy urastające do kosmicznych rozmiarów: lęk przed miłością, przed byciem razem, przed niewłaściwym wyborem, przed rodzicielstwem, przed zranieniem, przed ocenieniem. Ciężko to w ogóle nazwać problemem, nieprawdaż? Efemeryczni i rozkapryszeni jak róża z planety Małego Księcia...

Kilkanaście pocztówek z krainy dorastania w naszym cudownym świecie przesyłają Autorki i Autorzy z MLO Paderewski. Tytuł wybrali sami, także napisali teksty i zilustrowali je (z jednym wyjątkiem). Czytajcie i płaczcie nad ich mizantropią, niedostosowaniem, brakiem cnót i wybrzydzeniem na piękny świat. Opowiadania powstały w 2022 i obecnym roku.



Agata Bechta

Fobia wiatru

– A zostawiłabyś może światło?

– Przecież już jesteś duży, nie potrzebujesz palić świecy całą noc.

Wyjrzał przez okno. Nad ranem jedynie kropiło, lecz teraz rozpętała się istna nawałnica. Ze zboża zasianego przez wujka zaledwie tydzień temu zostanie tyle co nic. Na polach wody stoi po kolana, a deszcz wciąż leje. Krople wałą o szybę, drzewa uginają się przy każdym większym porywie, cały dom trzęsie się i skrzypi. Wiatr może się przedostać nawet przez najmniejsze szczeliny w oknach, nucąc przy tym świszczącą, piskliwą melodię. Na samą myśl o tym zadygotał. Co, jeśli wiatr dotrze aż tutaj? Kobieta spojrzała w stronę siostrzeńca.

– No już, nie wygłupiaj się. Idź grzecznie spać, jeśli zaśniesz, to cię żadne straszycło nie dorwie. Dobranoc – powiedziała, po czym zdmuchnęła świeczkę. Noc jest przerażająca sama w sobie. A do tego jeszcze taka wichura...

Maluch słyszał przekazywane z ust do ust legendy. O tajemniczych stworzeniach. Demonach. Kreaturach stworzonych przez Czarta. Kuzynka opowiadała, że do pradziadka owczarza z pobliskiej wsi przyszło Licho; zesłało zarazę na wszystkie owce,

ginęły jedna po drugiej, aż ze stada zostało tyle co nic. Jeszcze gorsza była Baba. Przeto parę lat temu, jeszcze przed narodzinami chłopca, zaczęły znikać dzieci z całej okolicy. Mówiono, że stara kobiecina mieszka głęboko w lesie, porywa chłopców i dziewczynki, piecze, a potem zjada. Ci, co mówili, że to bujdy dla dzieci, zmieniali jednak zdanie, kiedy znajdowali małe, dziecięce kosteczki rozrzucone po lesie. Lub głowy nabite na pal.

Chłopiec zacisnął oczy i nakrył głowę poduszką, żeby chociaż odrobinę stłumić przerażające dźwięki wichury trwającej za oknem. Zdawało mu się, że słyszy kroki, niby dochodzące z daleka, ale zarazem na tyle donośne i wyraźne, jakby coś kroczyło tuż pod jego oknem. Łup. Łup. Łup. To na pewno tylko jabłka spadające z drzew, uspokajał się, nikt nie byłby na tyle głupi, żeby wychodzić z chaty nocą, podczas burzy. Dźwięki jednak nie ustawały – przeciwnie, stawały się coraz głośniejsze, jakby coś zbliżało się do domu. Ciekawość wzięła górę. Chłopiec przykucnął i powolutku odsłonił firankę.

Jabłoń trzęsła się na wietrze, owszem, jabłka spadały przy każdym większym podmuchu, lecz nie one wywoływały ten huk. Od strony lasu kroczyła istota, ni to człowiek ni zwierzę, wysoka jak dom, lecz niczym nie przypominająca czegokolwiek, o czym chłopiec słyszał. Na głowę zaciągnięty miała kaptur, spod którego wystawały siwe, długie włosy, dziurawa peleryna owijała się zaś wokół jej kościstego ciała. Skórę miała starą i pomarszczoną, o zielonkawoszarej barwie – jakby zepsutą. Na biodrach pas, a przy nim uciepione żółtawe kości, zardzewiałe dzwoneczki, pobrzękujące o siebie łańcuchy. Drzewa ugiwały się i upadały, kiedy tylko istota przechodziła obok nich. Wiatr zdawał się wychodzić z przerażającego stwora, a zarazem nie miał

na niego żadnego wpływu. Huragan trwał w najlepsze, a zjawa pozostawała nim niewzruszona. Poruszała się powoli w stronę domu, wydając nieludzkie dźwięki.

Chłopiec przerażony podbiegł do łóżka cioci i zaczął nią potrząsać.

– Ciociu, ciociu, obudź się! Tam coś jest i to jest duże i idzie prosto do nas!

– Gdzie „tam”?

– Za oknem! To jakiś czart czy inna zjawa, niech ciocia wstanie i zapali świeczki, to sobie pójdzie!

Kobieta odepchnęła chłopca i przekręciła się na drugi bok, mamrocząc coś w poduszkę.

Maluch podbiegł do stolika i chwycił zapalki. Otworzył pudełeczko i wyciągnął jedną. Potem drugą, trzecią, czwartą. Ręce mu się trzęsły, wiatr huczał o okna. Usłyszał stukanie w szybę, a pudełeczko z zapalkami wypadło mu z rąk. Rozsypały się po podłodze, wpadając w szczeliny starych drewnianych dech. W jednym momencie firana poderwała się, wzlatując wysoko do sufitu. Okno otworzyło się, a przez nie do środka zaczęły wlatywać liście, piach i krople deszczu. Łzy płynęły wodospadem po bladej buzi chłopca. Wycofał się w kąt izby i skulił między piecem a szafką. Istota wychyliła się przez okno, zaglądając do środka chaty. Zignorowała pogrążoną we śnie kobietę. Głowę skierowała w stronę chłopca i wpatrywała się w niego spod ciemnego kaptura. Wyciągnęła kościstą, obrzydliwą dłoń, wydając przy tym stłumione dźwięki, coś między chichotem a szeptem. Długim paznokciem przejechała po policzku chłopca. Cuchnęła rozkładem. Brudem. Starością. W jednej chwili pochwyciła chłopca za nadgarstek i zaczęła ciągnąć ku sobie.

Mały rzucał się, kopał i krzyczał, lecz nadaremnie. Stwór był od niego większy i silniejszy. Przeciągnął go przez długość izby, głowa chłopca uderzyła o framugę okiennicy, a potem czuł już tylko ciężkie krople deszczu, rozpryskujące się na jego skórze. Przerazająca istota przyspieszyła kroku, wpół idąc, wpół biegnąc przez pola. Dziecko piszczalo wniebogłosy, wierciło się, gryzło i drapało. Wiatr zagłuszał każde jego słowo i wołanie o pomoc. Wraz z upływem czasu piski przemieniły się w nieustające zawodzenie.

– Puść mnie! P-p-proszę, puść!

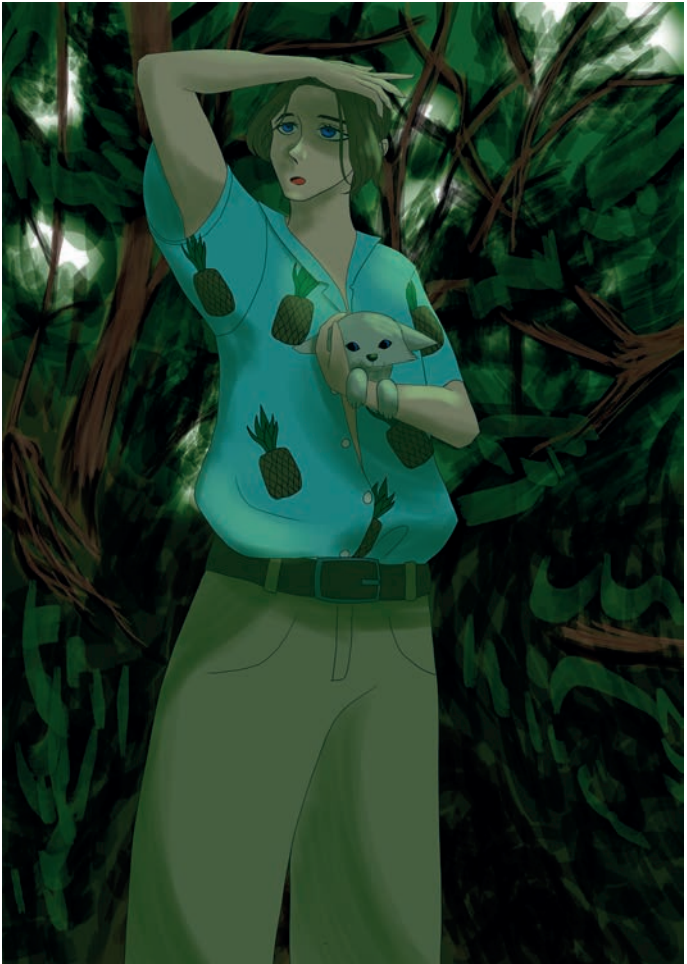
Istota, słysząc błagania, jedynie przyspieszyła kroku, biegnąc prosto przed siebie, przeskakując wydrążone pnie, kamienie, krzewy. Pędziła teraz przez las, zwinnie wymijając drzewa, jakby знаła ten teren na pamięć. Lub może to drzewa ustępowały jej drogi, chyląc nisko swoje korony... W oddali chłopiec zobaczył światło ogniska. Długie cienie wspinały się po pniach drzew, tworząc zakrzywione kształty. Coraz wznosiły się i opadały w przedziwnym tańcu. W powietrzu unosił się jednostajny dźwięk dłoni uderzających o bębny, syków, pisków, melodyjnych rymowanek przechodzących co raz w niezrozumiałe pieśni. Dziecko przestało krzyzczeć i wrywać się, onie miało widokiem.

Cienie należały do istot kobiecych poruszających się wokół ogniska. Były całkiem nagie. Skórę miały pomarszczoną i wyblakłą, jak stary zwój pergaminu. Ich piersi zwisały nisko. Na całym ciele miały ślady zadrapań, ukąszeń, krwi. W długie, srebrzyste i skołtunione włosy wplecione były suche gałązki oraz liście. Na twarzy zmarszczki. Krzywe nosy i jeszcze bardziej wykrzywione bezzębne uśmiechy. W oczach nie było widać źrenic,

a jedynie przekrwione białka. Wydawały z siebie krzyki i jęki, wciąż kręcąc się i skacząc wokół ogniska.

Dziecko wydało z siebie zdławiony krzyk. Szóstka obrzydliwych stworzeń zaprzestała hucznej zabawy, odwracając blade twarze w stronę chłopczyka. Szczyrzyły się do niego drapieźnie, oblizując sine wargi. W kącikach ich ust znać jeszcze było ślady zaschniętej, czarnobordowej krwi.

– Chodź – odezwała się chrapliwym głosem jedna z nich. Nie sądzisz przecież, że cię skrzywdzimy, prawda?



Kacper Warda

Próba

Gdy tylko się zbudził, już wiedział, że to jest ten dzień. Nie było mowy o pomyłce. Wiosenne słońce, nieśmiało zwiastując lato, przyjemnie grzało, lecz nie napastowało gorącem. Był późny ranek. Już jakiś czas temu świat zwlekał się z nocnego posłania. Wczesne promienie zastąpił niebieski blask nieba. Mieszanka zapachów – świeżo skoszona trawa, delikatna nutka kwiatów polnych i unoszący się w powietrzu smak lodów waniliowych – wpływała otwartym oknem, wypełniając nozdrza, a nos delectował się nią, jak usta cieszą się smacznym obiadem. Za oknem słyszało się pełne wigoru ćwierkanie ptaków i pojedyncze szczeknięcia okolicznych psów. Życie wzrastało – dzieci ganiały się po drogach, dorośli masowo wsiadali do samochodów, ogromne siaty zakupów z supermarketów wtlaczano do mieszkań, by ich mieszkańcy mogli przetrwać następny tydzień. To była idylla z obrazka, kraina harmonii i pokoju, gdzie szczęście znajdowano w codzienności, a dni takie jak ten wspomniano z nostalgią w odległej przyszłości. „Tak, dziś jest ten dzień” – pomyślał znowu i po raz ostatni wstał ze swojego łóżka.

Na początek porządnie się rozciągnął. Obecnie jedyne czego chciał, to poczuć się żywy. Zrobił kilka pajacyków, pobiegał

przez minutę w miejscu, zmówił (czego nie robił od dawna) poranną modlitwę i poszedł się wykąpać. Letnia woda pozwoliła mu zmyć z siebie smród kilku wcześniej nieprzespanych nocy. Pachnący i jeszcze wilgotny, chyżo wyskoczył z łazienki i biegnąc na golasa po domu, zaczął przebierać w ubraniach. Odrzucał te, które były brudne, nieprane, nieprasowane lub po prostu śmierdziały. Dziś chciał wyglądać zjawiskowo. Nietuzinkowy charakter ubioru osiągnął dzięki błękitnej hawajskiej koszuli w ananasy i kremowym chinosom. Na plecy zarzucił lekką kurtkę. Stwierdził, że w takim ubiorze może dzisiaj pozdrowić świat. Spakował do zawieszanego na plecach worka portfel z pieniędzmi, telefon, nożyczki, słuchawki, bilet do autobusu, parasolkę, zegarek, zdjęcie własne i swojej rodziny, gdy był jeszcze dzieckiem oraz butelkę wody. Na stole położył uprzednio przygotowaną kartkę. Miał już wsadzić klucz do zamka drzwi, aby móc zamknąć dom, lecz zawahał się. Przekroczył jeszcze raz próg domu. Przypomniał sobie swoje pierwsze wspomnienie: jak mama starała się przebrać go w czyste ubranka, a on w ramach psikusa uciekał przed nią po całym domu, nieporadnie biegnąc na swoich dziecięcych nóżkach. Przypomniał sobie rudego pluszaka, którego dostał w szpitalu i nazwał Vulpes – mieli takie same oczy. Przypomniał sobie swój pierwszy obiad i niemal magiczny smak zupy pomidorowej mamy, pierwszy dzień, kiedy sam szedł do szkoły oraz huragan, kiedy został sam w domu, a wszyscy inni gdzieś pojechali. Widział, jak bawiąc się z psem, biega z nim razem po domu, niszcząc w zabawie wszystko na swojej drodze. Wewnętrzny okiem ujrzał swój pokój i resztę domu sprzed ostatniego remontu, a potem sprzed jeszcze wcześniejszego. Przypomniał sobie wszystko, co do tej

pory tu przeżył. Otrząsnął się jednak z tego chyżo mknącego potoku wspomnień. Musiał się skupić na dniu dzisiejszym. Głęboko odetchnął, uśmiechnął się od ucha do ucha i po raz ostatni przekroczył próg swego domu.

Idąc swoją ulicą, starał się mówić „dzień dobry” wszystkim sąsiadom. Wypatrywał znajomych i energicznie im machał. Ci, nieco zdumieni, (choć pozytywnie), odmachiwali mu. Z tymi, których już dawno nie widział, zamienił nawet kilka słów. Zapytał o zdrowie, jak się powodzi, co się udało, a co nie, opowiedział trochę o sobie, rodzinie, jak brat radzi sobie na studiach, że ojciec jeszcze nikogo sobie nie znalazł i o kłopotach w szkole. Z każdym żegnał się bardzo ciepło, wysuwając dłoń i ochoczo potrząsając tę należącą do rozmówcy. Napawał się pogodą. Całym sobą pochłaniał energię, która elektryzowała powietrze. Tyle kolorów, dźwięków, zapachów – teraz dopiero człowiek rozumiał, co to jest życie! Obcował z nim, smakował je i z fascynacją nowo narodzonego dziecka patrzył na wszystko, co go otaczało. Świat wydawał się dziś pełniejszy niż kiedykolwiek wcześniej.

Ni stąd, ni zowąd, obok chodnika, na trawie, spostrzegł nieruchome zwierzątko. Skuliło się w cieniu klonu, przy samym pniu, a był to biały lisiek. Bardzo mały, miał lśniące futerko, przezroczyste miejscami. Długim, puszystym ogonem otulił swoje skurczone ciało. Spał najwyraźniej. Delikatnie oddychał, wciągał swym czarnym jak smoła noskiem wiosenne powietrze.

Podszedł do liska zaciekawiony, a gdy dzieliła ich odległość dwóch kroków, zwierzak otworzył oczy, purpurowe jak morze i tymi oczami wpatrywał się w twarz człowieka. Ten w końcu ukląkł na ziemi. Lisiek swym lazurowym oddechem jakby go

wabił do siebie, a w jego oczach migotał niezwykle żal. Przytłaczająca samotność biła z lisiego pyszczka, ciało delikatnie się trzęsło. Człowiekowi zrobiło się dziwnie. Zapytał, czy może nie zechciałby mu potowarzyszyć.

– Boję się... – odpowiedział lisek.

Nie trzeba... Wszystko będzie dobrze. Zabiorę cię tam, gdzie twoje miejsce... Już miał wyciągnąć ręce, gdy bez uprzedzenia wiatr mocniej zawiął, lisek poczuł go na swym futrze i odbiegł dalej. Człowiek popatrzył z troską, ponownie podszedł do liska i tym razem wziął go na ręce. Dygocące ciało wtuliło się w jego pierś. Ostrożnie położył na nim swą dłoń i przeczesał mu futro wzdłuż grzbietu. Po chwili – już razem – ruszyli dalej.

Weszli do sklepu, udając się w stronę wybranej alejki. Człowiek wiedział, gdzie szukać. Zaczął przeglądać dostępne rodzaje. Jedna była za szorstka, druga za średnia, trzecia zbyt trzecia, a czwarta śmierdziała. Znalazł jednak odpowiednią, wystarczająco mocną. Gdy tylko jej dotknął, pogładził, powąchał, wiedział, że to jest ta. Przymierzył. Pasowała. Lisek z niepokojem patrzył na to, co trzymał w dłoniach.

– Nie podoba mi się – zaskomlał. – To zła rzecz. Odłóż ją.

Człowiek pogłaskał liska. Pod miękkim futerkiem wyczuł kruche kości zwierzątka.

– Nie możesz. Nie możesz... – skamlało. – Wiesz, że to kłamstwo.

Człowiek uśmiechnął się pobłaźliwie. Wyglądał na zbudowanego. Przeszli do kasy. Wyłuskał z portfela samotny banknot. Zapłacił, odmówił reszty. Pusty portfel schował do torby.

Na dworze wiatr przybrał na sile, a lisek bardzo nie lubił wiatru. Tarmosił jego futerko, mierzwił je nieprzyjemnie. Lisek, okryty kurtką, wtulił się mocniej w pierś człowieka.

– Boję się, boję... – szeptał.

Już dobrze, maluchu... Zostało niewiele, odparł człowiek, garnąc zwierzaka mocniej w ramionach. Tuż po sygnale kierowcy wskoczył do autobusu. Z kieszeni wyłowił bilet, skasował go w terminalu. Jechali długo. Zgiełk miasta milkł. Centrum zastąpiły osiedla bloków, osiedla – rodzinne domki, wreszcie w miejsce domków zostały drzewa. Gdy wsiedli, autobus był mocno wypchany ludźmi. Niektórzy błagalnym wzrokiem starali się złowić zmęczone spojrzenia współpasażerów, by uszczknąć nadziei, że podołają tej jeździe. Jednak z każdym kolejnym przystankiem coraz więcej ich wysiadało, a dosiadali się tylko nieliczni. Do końcowego za miastem dojechał tylko człowiek i schowany pod kurtką lisek. Wysiedli, a potem patrzyli, jak autobus znika, wracając do miasta.

Wiatr był tu mocniejszy. Chmur na niebie przybyło i ochłodziło się. Teraz już człowiek biegł. Lisek pod kurtką przecisnął się przez szczelinę między guzikami hawajskiej koszuli i przylgnął do spoconej klatki piersiowej. Skulony w kłębek, białymi łapkami próbował zakrywać uszy. Puszyste ciało drgało, nos marszczył się, jakby miał zaraz kichnąć. Wiosenne listki, świeże, niewyrośnięte, szumiały głośno, gdy wbiegli pod drzewa, rozkołysane wzmagającym się wiatrem. Krótkie pazurki tylnych łapek drapały człowieka do krwi.

Lisek wyściubił pyszczek zza ananasów, oparł go na suwaku zasuniętym do połowy zamka lekkiej kurtki mężczyzny.

– Czemu tutaj jesteśmy? – zaszczekał.

Człowiek zbył tę zaczepkę milczeniem. Był teraz zajęty: wyciągnął telefon i wysyłał kilka wiadomości, po czym włączył tryb samolotowy. Trwało to parę minut, nim ruszył dalej.

W poszyciu lasu wiatr był prawie niewyczuwalny, ale wyżej, w koronach drzew, jakby rósł w siłę. Poza tym las zdawał się pusty: bez ludzi, bez zwierząt, nawet motyli, które w mieście wyroiły się w ciepło wiosennego dnia. Jakby wszystko i wszyscy opuścili go, i tylko oni, dwóch zgubionych nomadów, przemierzają swoją nieznaną drogę. Wilgotna ściółka tłumiała kroki. Im dalej szli w głąb, tym bardziej wilgoć i cień kradły ciepło dnia. Kaszel zatargał piersią człowieka. Lisek nastroszył futerko.

– Nie chcę tu być... – niespodziewanie jego głos wybrzmiał mocniej niż lisi pisk. – Nie chcę iść dalej. Zawróćmy.

Człowiek gwałtownie zasunął suwak zamka do końca. Biegł dalej z kamienną twarzą. Spod kurtki, z początku cicho, potem coraz głośniejsze, płynęły warknięcia i poszczekiwanie, aż w końcu lamentujące błagania, by zawrócili. Pazurki liska coraz boleśniej raniły skórę, aż pojedyncze kropelki krwi spływały po spoconej, gęsią skórą pokrytej skórze. Człowiek się bał. Lisek czuł jego drgające serce, wzbierający rytm, jak furkotanie liści tarboszonych przez mocny wiatr. Niebo znów pociemniało. Chmury zgęstniały.

Stanęli na niewielkiej polanie, na której środku piął się do góry samotny dąb. To tutaj, oznajmił człowiek. Zrzucił kurteczkę, rozpiął guzik hawajskiej koszuli. Na młodą trawkę wyskoczył biały lis. Nie bał się już niczego, choć wiatr nastroszył jego olśniewającą sierść. Przestał oddychać, zamarł bez ruchu.

Człowiek ukucnął przy lisku. Zimnymi dłońmi delikatnie ujął jego przednie łapy. Uniósł je, zajrzał w purpurowe jak morze oczka, w ostatnią iskierkę na dnie.

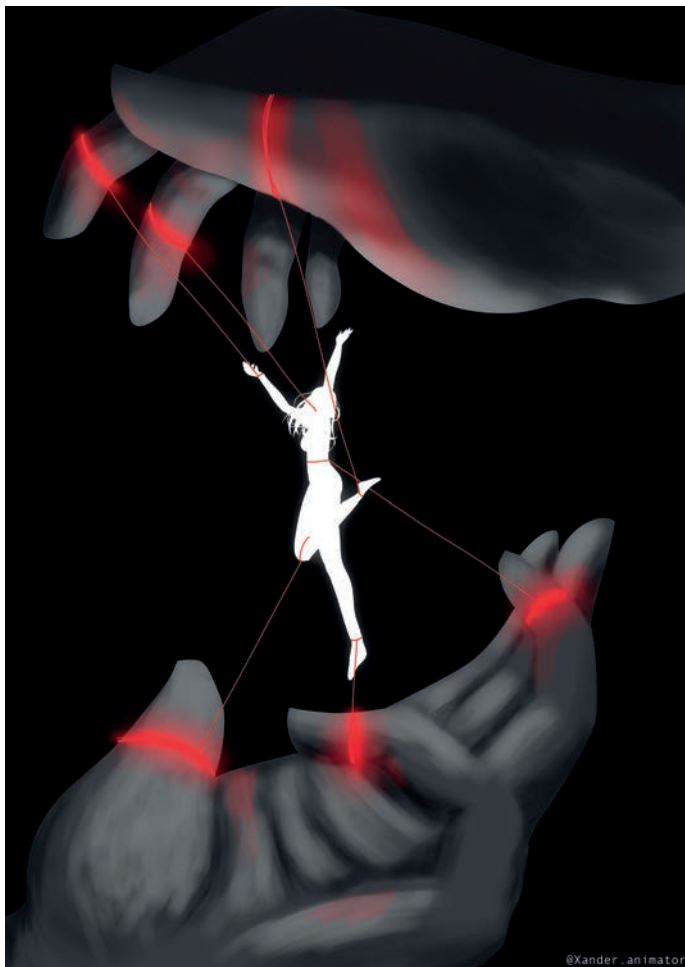
– Nie chcę... – załkał.

Pogłaskał liska. Za chwilę będziemy w domu, wyszeptał łagodnie. Podszedł do plecaka. Wyjął ją i ułożył w dłoniach. Chwilę to wszystko trwało.

Zaczerpnął głęboki oddech. Potem kolejny.

Wdech.

Wydech.



@Xander Animator

Julia Kowalczuk

Ona zawsze jest

16 luty 2018

Siedziała na ławce przy schodach, smarkuła w skórzanej kurtce i z kolczykiem w nosie, zrobionym oczywiście w damskim kiblu. Była znudzona na śmierć monotonnym dniem i czekaniem, aż ojciec podjedzie pod liceum. Usłyszała kroki. Nie spojrzała przez ramię. Ktoś stanął tuż obok. Wzrok dziewczyny przemknął po podłodze do czarnych koturnów, ulubionych butów Irki.

– No hej – usłyszała nad sobą głos przyjaciółki.

– Hej – odparła, nie wstając z ławki.

– Chciałam ci tylko powiedzieć... już wiem, że mnie okłamałaś. Przez ciebie mam kłopoty z dyrem – wypaliła, świdrując ją wzrokiem.

– No i? – mruknęła niepewnie. Nie mogła znieść tego spojrzenia.

– Nie, nic – stwierdziła Irka ironicznym tonem. – Dla ciebie to jest nic.

Na chwilę zapadła cisza.

– Chciałam tylko pomóc Kamilowi – zaczęła tłumaczyć pozornie obojętnym tonem. Na twarzy Irki pojawił się wyraz politowania. Niczym płachta na byka. – Wiesz, co mi powiedział? Że wystawiłaś go jak ostatniego śmiecia. Wiedziałaś, że jego rodzice będą wściekli, gdy się dowiedzą, ty za to byłaś w bardzo dogodnej pozycji! Nikt nie mógł ci nic udowodnić.

– Tak?! A ty jaki masz dowód, że posłałaś z tą sprawą do szkolnej psycholog?

Nie miała dowodu. Po prostu wiedziała, że wersja wydarzeń Irki nie zgadzała się z wersją Kamila. Któreś z nich musiało kłamać i czuła, że tym kimś była Irka. Może nie miała dobrego powodu. Może po prostu chciała wierzyć w to, że wina leży po stronie wspaniałej, lubianej, niezastąpionej Ireny Braskiej, a nie Kamila, który przecież zawsze był dla niej taki miły. Spojrzała przyjaciółce prosto w oczy.

– Jak widać dowód nie był potrzebny.

– O czym ty gadasz w ogóle? Dlaczego Kamil nie poszedł zgłosić tej sprawy sam? Myślisz, że mu pomogłaś? Wiesz, co mi mówił? Że niepotrzebnie zrobiłaś dramę.

Te słowa zabolęły. Wiedziała, że Kamil nie chciał wyjawiać swojej wersji wydarzeń, ale nie mogła zaakceptować tego, jak łatwo pozwolił Irce zrobić z siebie kozła ofiarnego. Chciała go tylko wesprzeć... albo i nie. Od momentu wyjścia z pokoju psycholog zastanawiała się, co właściwie zamierzała osiągnąć i z niezadowoleniem przyjmowała, że chyba chciała po prostu odegrać się na Irce. Absurdalne było, że nie wiedziała do końca za co. Myśl, że mogła to zrobić z czystej zazdrości, nappełniła ją odrazą do samej siebie.

– Pomogłoby, gdybyś nic nie zrobiła – ciągnęła Irka. – Z Kamillem załatwimy to między sobą. Zawsze byliśmy blisko, znam go lepiej niż ty.

I w tej kwestii Irka miała rację. Prawda była tak bolesna, że gdyby mogła, zaczęłaby płakać. Kamil nie potrzebował jej pomocy. Wszyscy koledzy, których miała, byli tylko pożyczonymi na chwilę przyjaciółmi Irki. Nikim więcej. Spirala myśli pędziła coraz szybciej. Przecież to tak oczywiste! Kamil ma ważniejszych ludzi w swoim życiu, takich, których pomoc coś znaczy. Czy jest coś, co ona mogłaby mu dać? Przywołała w głowie obraz wszystkich swoich znajomych i szukała śladów prawdziwych, przyjacielskich więzi, szczerego wsparcia, trwałej relacji. Twarze zacierały się i znikwały, aż została tylko jedna... Irka. Piękna, wygadana, pewna siebie, wciągała wszystkich jak czarna dziura. Pozostawało tylko samemu rzucić się w jej ciemne odmęty, żeby nie trwać w przytłaczającej pustce... stop.

Znowu nakręcała się przeciwko Irce. Skoro wszystkie kontakty, które kiedykolwiek nawiązała, szybko się urywały, to nie trudno zgadnąć, kto zawinił. Ludzie nie są głupi, odwracają się od ciebie wtedy, kiedy nie jesteś wart uwagi. Po co prowokowała niepotrzebną dramę? Żeby znowu wyjść na idiotkę?

Irka coś jeszcze mówiła, po czym odeszła. Dziewczyna została sama, w środku aż drżąc z emocji. Poczowała, że pod bluzą jest całkiem mokra. Świat wokół wirował, jak przed omdleniem. Dobrze, że przyjaciółka nie zorientowała się, że coś jest nie tak. Powiedziałyby, że symuluje. Irka nigdy nie wierzyła w ataki choroby. Próbowwała oduczyc ją „użalania się nad sobą”. Może to dziwne, żeby na silne emocje reagować zawrotami głowy i utratą przytomności, ale tak właśnie reagował jej organizm.

Poza wszelką kontrolą, bez udawania. Nieważne. Irka nie miała obowiązku ani jej wierzyć, ani zajmować się nie swoimi problemami.

Schowała twarz w dłoniach. Wiedziała, że przez najbliższe dni nie będzie miała do kogo otworzyć ust. Łańcuszek znajomych z którymi piła, przesiadywała w szkole i robiła nieprzemysłane kolczyki, zniknie. Przynajmniej dopóki nie przyzna przed Irką, że zachowała się jak zła przyjaciółka. Za całą tę sytuację mogła obwiniać tylko siebie, bo gdyby była dość silna, mogłaby mieć własny krąg przyjaciół. Tymczasem Irka była jej oknem na świat i decydowała, co przez to okno wolno było zobaczyć.

5 października 2022

Przechyliło ją w lewo, tak, że walnęła bokiem o framugę drzwi. Potrząsnęła głową, wyrwana z otępienia. Nerwowo rozmasowała ramię. Podłoga w przedsionku była wyłożona płytkami, ściany – boazerią. Klucze głośno zadzwoniły, gdy wyjmowała je z zamka. Nikt nie wyszedł po nią do przedsionka. Mocnym ruchem zamknęła drzwi. Cienkie drewno huknęło w zmaltretowaną framugę. Echo rozeszło się po pustej klatce schodowej i zginęło w dole. W ciszy słyszała każde kliknięcie obracanego mechanizmu zamka. Zrzuciła płaszcz, zdjęła buty. Szelest trących o siebie kurtek był niezwykle kojący. Zatrzymała się w otwartych drzwiach szafy, chłonąc otoczenie, bez woli by ruszyć w przód bądź wstecz. W niedzielę koło południa świat był niezwykle mało pociągający. Było niemożliwe, żeby o tej godzinie w ten dzień waliły pioruny i szalały ulewy, by ktoś robił studencką parapetówkę na piętrze lub na dobrą sprawę robił

cokolwiek. Godzina odmierzana przekładanymi z nieprawdopodobną determinacją paciorkami różańca przez wszystkie sąsiadki z góry i z dołu. Martwa godzina. Bardzo dziwna myśl przyszła jej do głowy. Że chyba w tej właśnie godzinie umrze.

Nie.

Weź leki, do jasnej cholery.

Wpadła do kuchni. Wzięła szklankę z szafki, nalała sobie wody. Znów trudno jej było utrzymać pion, bo świat gwałtownie bujał się, jakby nie chciał dopuścić, by zapomniała, że po raz kolejny przechodzi ten koszmar. Przez drzwi balkonowe wpadało szare światło dnia. Coś szumiało. Szum w uszach, który przejdzie w pisk tuż przed utratą przytomności. Zagapiła się na pełną szklankę, próbując sobie przypomnieć, co zamierzała zrobić dalej. „No dawaj” – wymruczała, ale trwała w miejscu sztywna ze stresu, jak w ostatnich minutach egzaminu.

Drzwi balkonowe otworzyły się szerzej. Zrozumiała, że musiały być otwarte już wcześniej, że uporczywy szum, był tylko odgłosem beznadziejnego, październikowego deszczu, a drzwi nie popchnął wiatr, ale ręka kogoś, kto przez cały ten czas stał niezauważony za szybą.

Ojciec wsunął się do kuchni. Ciężko było poznać, czy czekał. W jego zmęczonych oczach nie wyczytała nic. Milcząc, wskazał na drugą od góry szufladę w minimalistycznym, drewnianym kredensie. Wiedział, po co przyszła. Przez chwilę chciała przekornie udawać, że jest inaczej. Że po prostu wróciła do domu odpocząć. Zjeść chipsy. Pograć na konsoli. Sama by się nie nabrała na taką bzdurę. Otworzyła szufladę, wyjęła małe, białe pudełeczko, z niego małą, białą tabletkę. Wróciła po leki, i tylko po to.

Ojciec przestawił dwa krzesła, tak by były trochę zwrócone do siebie, ale nie do końca. Jakby zamierzał zaprosić ją do rozmowy, której nie chciał zaczynać. Ona łyknęła tabletkę i usiadła. On nadal jedynie stał i patrzył.

– Zrobić ci herbatę?

– Tak.

Wziął dwa kubki i nastawił czajnik. Woda zaczęła cicho szumieć.

– Co robiłaś od czwartku? – spytał, wyciągając z opakowania torebki Earl Graya.

Zirytowała się, bo pomyślała, że wiek dwudziestu lat zwalnia z konieczności odpowiedzi na takie pytania. Ale właściwie o co innego miałby zapytać?

– W piątek po zajęciach byłam u znajomych, taka mała impreza. W sobotę trochę odsypiałam, trochę powtarzałam do kolokwium, takie tam. No i wieczorem znajomi zaprosili mnie na miasto, a potem nocowałam u koleżanki. Dawno przyjechałeś?

– Dwie godziny temu.

Mieszkanie w starym, pokomunistycznym bloku, rodzice zostawili jej na własność, przynajmniej na czas studiów, ale zastrzeżili sobie prawo do częstych odwiedzin. Wciąż pamiętali czasy liceum i martwili się o nią. Słusznie. Myślała, że uniknie spotkania z ojcem, ale przesadziła z omijaniem zaleceń lekarskich.

Zastanawiała się, kiedy w końcu zaczną padać niewygodne pytania. Czy znowu piła, choć nie powinna, znowu nie wzięła leków, choć powinna, znowu wdała się w jakąś dramę i naraziła na stres, choć tego absolutnie nie wolno jej robić? Rozsądnie byłoby zawsze grzecznie na nie odpowiadać.

– Bierz ze sobą leki, jak gdzieś wychodzisz – powiedział, chociaż było wiadomo, że nie potrzebowała przypomnienia. – Miałaś jakieś ataki poza tym teraz?

– Nie.

Kłamstwo. Znowu nie mogła nic wyczytać z oczu ojca. Uwierzył?

– Kłamiesz, prawda?

Czyli nie uwierzył.

– Nie, ostatnio czuję się lepiej. Na uczelni już jest spokojnie, żadnych dram.

– A ta sprawa z tym, że rozwaliłaś coś w mieszkaniu Irki...

– Wszystko sobie wyjaśniłyśmy.

Wzdrygnęła się. Na jednej z imprez stłukła kilka talerzy, które pociągnęła na podłogę razem z obrusem. Dopóki wszyscy byli pijani, problem nie istniał. Później Irka wpadła w furję. Często szło o takie małe rzeczy, nigdy nie wiadomo co spowoduje wybuch. Liczyła, że kiedyś zyska odporność na te ataki wściekłości. Niestety, za każdym razem dawała się złamać jak małe dziecko.

– Grzecznie przeprosiłaś za bycie kłopotem? – ojciec drążył temat, wlewając wrzątek do kubków.

– No tak, a co niby miałam zrobić? Zbiłam talerze. Odkupiłam i przeprosiłam.

Tak jak robią dobre przyjaciółki.

– I nie wspomniałaś nic o tym, że sprawiła ci przykrość – dopowiedział niezadowolonym tonem. – Pochyliłaś głowę i zaakceptowałaś jej okropne zachowanie jako normę. Nie mów mi, że nie było o co robić zamieszania, bo to nie prawda.

– Jej wina, że za bardzo ruszają mnie takie sytuacje? – spytała niechętnie. Irka zawsze nie rozumiała, jak można tyle płakać i być nieodpornym na krytykę.

– A czyja?

– No, moja.

Pokręcił głową.

– Cały czas pozwalasz, żeby cię słownie atakowała. Trzymacie się razem od lat i w ogóle nie jest lepiej. Musisz w końcu pokazać, że pewnych zachowań nie będziesz tolerować. Nie możesz narażać się na stres, pomyśl o swoim zdrowiu – powtarzał to jak mantrę tak wiele już razy, że słowa straciły dla niej sens i odbierała je jedynie jako wyraz oślego uporu. Szczególnie, że ani kiedyś ani teraz nie miała nic, co mogłaby Irce „pokazać”.

– Przecież nie zabronię jej się denerwować. Dobrze wiesz, że jest moją przyjaciółką i takie tarcia są bez znaczenia.

Miałaby przykładać wagę do drobnych sprzeczek? Udawać, że ma prawo komuś rozkazywać? Irka potrafiła wybaczyć wszystko. O niczym jednak nie zapominała.

Rodzice będą do końca wierzyć, że ich dziecko jest niewinne i pokrzywdzone. Nigdy nie przyjęliby do wiadomości, że mogło celowo kogoś krzywdzić. A ona właśnie tak robiła. Kiedyś kłamała, że ataki nasilają się od stresu, żeby wszyscy jej żalowali i nie mówili prawdy w twarz, kiedy postępowała żałośnie. Przy zawieraniu nowych znajomości polegała w pełni na przyjaciółce. Irka kierowała nią, kiedy nie wiedziała co ze sobą zrobić. A potem przez gorycz drobnych sprzeczek, ubzdurane poczucie samotności, frustrację brakiem kontroli, którą przecież mogła przejąć w każdej chwili, gdyby nie była taka głupia... – obwiniała Irkę o każde swoje niepowodzenie.

Spojrzała w oczy ojca i tym razem wyczytała w nich żal i rozczarowanie. Znikąd pojawiła się myśl, że gdyby zobaczyła siebie, tak jak on ją widzi, to mogłoby być tak, jakby po raz pierwszy szczerze spojrziała w lustro. Ale z drugiej strony coś w niej walczyło z jego słowami. Szum, wrzask próbował zagłuszyć prawdę. Jakby pomiędzy nimi szalał wiatr, tak potężny, że mógłby ją zmieść z powierzchni ziemi.

Robal



Lena Chróścik

Przepis na naleśniki

Trochę mąki i trochę cukru. Zobaczysz, ile ci trzeba, jak konsystencja będzie dobra, to znaczy, że wystarczy. Odrobinę wody gazowanej, tak dosłownie kropkę i do tego proszku do pieczenia. No, tak trochę, żeby były ładnie pulchne. Wszystkiego tak naprawdę dajesz na oko, tylko jajka zawsze dwa. I zawsze je umyj przed rozbiciem. Obróbka termiczna obróbką termiczną, ale salmonellą lepiej chyba nie ryzykować, nie sądzisz?

Tak mniej więcej wyglądało gotowanie cioci Agaty: chaotycznie. Poprzedniego dnia wieczorem podała mi przez telefon przepis na naleśniki, żebym je sobie usmażyła w sobotę na śniadanie, kiedy ona była w Kłajpedzie. Jak mawiała, weekend jest po to, żeby zrobić dwie rzeczy – rozpieszczać się i odkamienić czajnik. Z racji jej nieobecności w tamten weekend ostatni punkt mogłam sobie darować, ale odrobina szczęścia musiała się pojawić, dlatego wczoraj zadzwoniłam do niej po przepis. Wyjęłam trochę mąki i trochę cukru, odrobinę wody gazowanej i do tego proszku do pieczenia i dwa jajka. Umyłam je, aby nie ryzykować salmonellą. Nie, wróć. Próbowałam je umyć. Kiedy odkręciłam kran, ostatkiem sił wypęzły z niego trzy nędzne

krople wody. Zakręciłam go i odkręciłam ponownie. Miałam nadzieję, że zadziała to tak samo jak restart na dwudziestoletni laptop (czytaj: nie wiem jakim prawem, ale się naprawiło), ale niestety teraz zamiast trzech kropli dostałam jedynie głuchy jęk rur wodociągowych. Zadzwoiłam do cioci Agaty.

– No, co tam słoneczko? – usłyszałam głos w słuchawce.

– Wody nie ma – powtórzyłam restart kranu z cichą nadzieją, że nagle ujrzę w nim Niagarę. Albo przynajmniej Sikławę.

– Jak nie ma, jak w czwartek kupiłam ci całą zgrzewkę.

– Ale takiej w kranie.

– No, ja hydraulikiem nie jestem, kochana. I muszę zaraz lecieć na szkolenie. Kuźwa, oczko mi poszło w rajstopach. – Tu nastąpiło pełne konsternacji westchnienie. – Ale wiesz co? Mąż pani Jadwigi, tej co mieszka piętro wyżej, był. Możesz pójść i ją zapytać, czy nie wie, jak ci pomóc. BOŻE, CHYBA ZAPAKOWAŁAM DRUGIE RAJSTOPY, CHA CHA.

– A oni nie są po rozwodzie?

– Są, ale może się od niego czegoś nauczyła. Albo przynajmniej jej syn. Słuchaj, ewentualnie możesz zadzwonić do spółdzielni, ale ja nie wiem, czy dozorca ci to w weekend naprawi. Znając jego przyjazne usposobienie, powie ci, że skoro dałaś radę rozwalić ten kran, to dasz radę też poczekać grzecznie do poniedziałku. Dobra, muszę lecieć. Mam przerwę o 12.00, daj znać jak sytuacja. Kocham cię, baaaj. – Ostatnie słowo wręcz zaśpiewała, po czym się rozłączyła.

Nieco zmodyfikowałam rozwiązanie cioci Agaty. Poszłam pod drzwi mieszkania numer 4, zza których dobiegł do mnie dźwięk odkurzacza. „Dzień dobry pani Jadwigo, chciałam się

zapytać, czy jest u państwa woda w kranie. Dzień dobry pani Jadwigo, chciałam się zapytać, czy jest u państwa woda w kranie” powtarzałam sobie w myślach. Nacisnęłam dzwonek do drzwi. Przez szum odkurzacza najpierw przebił się jakiś niezrozumiały krzyk, potem dźwięk zamka, a na końcu w progu, zamiast mojej sąsiadki, ujrzałam sylwetkę jej syna, co nieco zbiło mnie z tropu. Wystawił głowę przez drzwi i gapił się na mnie jak sroka w gnat. W końcu wydusił z siebie niemrawe „O co chodzi?”

– Hej... Tymon. Tomek. Tadeusz. – Niby był między nami tylko rok różnicy i mieszkaliśmy w tym samym miejscu od czterech lat, ale wciąż nie byłam pewna, jak miał na imię.

– Nie jesteś nawet blisko. Ignacy – powiedział uszczypliwie.

– No tak, Ignacy. Racja. – Zmieszalam się. – Woda pyta, czy jesteście w domu. Znaczy ja pytam. Czy macie wodę w domu.

Ignacego zamurowało. Mnie w sumie też. Na szczęście z sypialni wychyliła się pani Jadwiga.

– O, Wandzia, jak miło, że do nas zaglądasz. Ignas, no wpuść ją do środka, co będziesz koleżankę na klatce trzymał – powiedziała, jak gdybyśmy wcale nie prowadzili z Ignacym pierwszej w życiu rozmowy. Zazwyczaj na swój widok celowo zgłaśniamy muzykę w słuchawkach z nadzieją, że zagłuszy nasze wyrzuty sumienia za brak jakiegoś „Hej, jak leci?” albo chociaż przyjaznego uśmiechu.

– Co tam cię do nas sprowadza?

Otworzyła drzwi i ruchem ręki zaprosiła mnie do środka.

– Chciałam zapytać, czy jest u państwa woda w kranie – uśmiechnęłam się uprzejmie.

Pani Jadwiga podeszła do zlewu w kuchni. Wszystko oczywiście działało jak należy.

– Hm, u nas wszystko działa. Czyli nie padło w całym bloku, tylko u was w zlewie. Ignas z chęcią rzuci na to okiem. W końcu pomagałeś kiedyś ojcu, nie? – uśmiechnęła się do syna. Ignacy spojrział na nią ze zdziwieniem, ale zanim zdążył zaprotestować, zostaliśmy subtelnie wyproszeni. Możliwe, że bardzo zależało jej, by w spokoju dokończyć odkurzenie, bo gdy tylko drzwi się za nami zamknęły, znów usłyszeliśmy szum.

Zeszliśmy w milczeniu z powrotem na parter, do mieszkania cioci Agaty. Otworzyłam szafkę pod zlewem, Ignacy nachylił się, zajrzał do niej, zrobił jeszcze bardziej niemrawą minę, poprawił okulary na nosie i powiedział:

– Nie zdziwi cię chyba, że pojęcia nie mam, jak naprawia się umywalki. Ale mama najwyraźniej nie zdaje sobie z tego sprawy.

– Po pierwsze, to nie umywalka, tylko zlew kuchenny. A po drugie, czy chcesz może wyprowadzić ją z błędu?

– Po pierwsze, czepiasz się szczegółów, a po drugie, dopóki nie każe mi naprawiać czegoś w domu, to chyba może żyć w przekonaniu, że zawsze jestem gotów poratować moimi zdolnościami sąsiadkę w potrzebie.

W tym momencie nastąpiła minuta niezręcznej ciszy.

– To... chcesz posiedzieć tu chwilę, żeby pani Jadwiga... to znaczy twoja mama myślała, że jednak znasz się na wodociągach? – odsunęłam krzesło od stołu, dając mu do zrozumienia, że naprawdę może sobie posiedzieć, a nie tylko metaforycznie.

– No... spoko. – Usiadł.

– Normalnie zaproponowałabym ci herbaty, ale nie bardzo mam jak ją zrobić. Możemy udawać, że to zrobiłam, ale odmówiłeś.

– Co? – Spojrzał na mnie pytająco. – Po co? Nie możesz po prostu mi jej nie proponować?

– Mogę, ale wtedy będzie nieuprzejmie.

Na tle kolorowego mieszkania cioci mój sąsiad, w tym swoim czarnym swetrze i równie czarnych dżinsach, wyglądał jak intruz. Nie wpasowywał się w jego atmosferę i nawet nie próbował się wpasować.

– Grywasz w karty? – Sięgnął po talię leżącą na stole.

– Owszem, grywam. W makao.

– W makao... – powtórzył prześmiewczo i zaczął tasować karty.

– Co jest złego w grze w makao?

– Równie dobrze możesz grać w UNO. Kartami gra się... w inne rzeczy. W brydża czy coś.

– I ty oczywiście umiesz grać w brydża?

– Oczywiście. I w makao też umiem, jakbyś się zastanawiała.

– No jasne, w zamian za umiejętności hydrauliczne.

Ignacy spojrział na mnie z urazą. Zabrałam mu talię i rozdałam karty. Mimo nienawiści do makao, zagrał ze mną trzy rundy. Wygrałam wszystkie. Po ostatniej rozgrywce westchnął i powiedział, że chyba powinien się zbierać. Wysłałam razem z nim, z zamiarem pójścia po płatki do mleka, bo przypomniałam sobie, że wciąż jestem bez śniadania. Na klatce schodowej naszym oczom ukazały się umierające paprotki stojące pod oknem prawdopodobnie tylko dlatego, że ktoś chciał pozbyć się ich z domu.

– Jakie te paprotki są brzydkie. Stoją tylko i więdną, nawet ładne nie są. Powinno się to wywalić na śmietnik – skomentował.

– Mi jest ich tylko szkoda – westchnęłam. – To musi być bolesna śmierć.

Jedząc płatki zadzwoniłam znów do cioci Agaty.

– No, halo halo, jak tam z tym zlewem? – przywitała mnie.

– No, nie zgadniesz, nie umiem naprawiać kranów.

– Oj tam, spróbować chyba nie zaszkodziło.

– Przyszedł syn, Ignacy. Pogapił się chwilę w rury i oznajmił, że w sumie to nie wie, jak to zreperować, przyszedł z jakiejś grzeczności. A potem z tej grzeczności wyśmiał moją grę w makao. Bufon. Przyłazi tu ubrany jak na jakiś pogrzeb i nie dość, że nie naprawia mi kranu, to śmieje się z mojego makao. – Z oburzeniem relacjonowałam cioci wydarzenie, próbując nie udławić się przy tym śniadaniem.

– O, to słuchaj, mam sprawę. Organizuję warsztaty dla młodzieży w Warszawie, będziemy szyć torby. Potrzebuję chętnych, wstęp wolny. Zapytaj kolegi, czy nie chciałby wziąć udziału – rzuciła, jakby to była zupełnie normalna prośba.

Zaniemówiłam.

– Chyba po moim trupie. Ja go praktycznie nie znam. Dopiero go poznałam i delikatnie rzecz ujmując nie nadajemy na tych samych falach.

– Dobrze. To ja ich zaproszę na herbatę i wtedy zapytam. W ogóle się nie znasz na takich rzeczach. No dobra, przerwa mi się kończy. Miłego dnia, kochana! – zakończyła naszą rozmowę.

Ciocia Agata oczywiście dotrzymała słowa. W następną sobotę pani Jadwiga i Ignacy przyszli do nas na podwieczorek, by podtrzymywać sąsiedzkie relacje. Ciocia pozwoliła sobie

odkamienić czajnik w niedzielę, zamiast w sobotę i w dodatku upiekła ciasteczka z czekoladą.

– Ależ to miło z pani strony, naprawdę, że też nigdy nie było okazji tak się po sąsiedzku spotkać, poznać, porozmawiać o życiu, o świecie. Jeszcze raz dziękujemy za zaproszenie. – Pani Jadwiga wyglądała na równie szczęśliwą co moja ciotka. Od kiedy tylko przekroczyła próg, wychwalała pod niebiosa jej inicjatywę. Za nią włókł się niechętnie Ignacy.

– Ależ cała przyjemność po mojej stronie, naprawdę. Siadajcie, siadajcie. Kawy? Herbaty? – Ciotka wskazała na krzesła przy stole.

– Tym razem naprawdę mogę zaproponować ci herbaty – powiedziała do Ignacego ubranego w czarny golf i znów w czarnej spodnie, po czym się uśmiechnęła.

– To ja poproszę kawy – oznajmił spokojnie i też się uśmiechnął. – Czarnej.

– Zaraz ci zrobię – ciotka Agata podeszła, stukając przy tym niskimi obcasami swoich pomarańczowych butów. – Siadajcie młodzieży, mam do was sprawę.

Przewróciłam oczami.

Kiedy wszyscy zostali już poczęstowani napojami, a ciotka dołączyła do nas przy stole, nie bawiąc się w zbędny small talk, zwróciła się do mnie i Ignacego ze swoją „sprawą”.

– A więc – zaczęła – organizuję taki warsztat dla młodych ludzi, bardzo ciekawy, z szycia toreb. Pomyślałam sobie, że może chcielibyście wziąć udział – mówiła ze śmiertelnie poważną miną, a Ignacy ewidentnie powstrzymywał uśmiech. Nasze opiekunki jednak zdawały się tego nie widzieć.

– Chyba... szycie toreb to niekoniecznie coś, do czego się nadają – Ignacy brutalnie zgasił entuzjazm cioci Agaty. No kto by się spodziewał.

– Jak tam uważasz... – tutaj ciocia wzięła łyk jakiejś egzotycznej herbaty o niebieskim zabarwieniu. – Ale przemyśl to jeszcze, dobrze?

– Spróbuję go jakoś namówić – pani Jadwiga zmierzyła syna wzrokiem.

Potem wzięły się za swoje rozmowy „o życiu i o świecie”, a my z Ignacym zostaliśmy pozostawieni samym sobie. W pewnym momencie Ignacy pochylił się w moją stronę.

– Byłaś kiedyś na dachu? – zapytał ściszym głosem.

– Nie – spojrzałam na niego zdziwiona.

– Mam klucz do wyjścia. Tylko pójdz może po coś cieplejszego, bo trochę tam wieje.

Zgodnie z sugestią poszłam do pokoju po bluzę.

– Przejdziemy się z Wandą na spacer – oznajmił głośno, wstając od stołu.

Idąc po klatce schodowej, zahaczyłam o tę nieszczęsną paprotkę stojącą pod oknem. Całe szczęście Ignacy złapał ją w locie.

– Widzisz? Mówiłem, że tylko tu przeszkadzają. One wręcz proszą się o wyrzucenie. – Odstawił kwiatka z powrotem na parapet.

– Daj spokój, to nie jej wina. Grunt, że jest cała i zdrowa.

Na dachu faktycznie było chłodno, jednak Ignacemu chyba to nie przeszkadzało. Podszedł do krawędzi i oparł się o murek okalający dach.

– Faktycznie wieje – zapięłam bluzę. – Czy nam wolno tu być? Teoretycznie powinno to być zakazane, to jest przecież dziesiąte piętro. W sumie to nad dziesiątym piętrem, więc nawet jedenaste! A poza tym, to skąd masz klucz?

– Jezu, czy ty możesz przez moment nie gadać? – zdenerwował się. – Zobacz. Zamknij się na moment, nie zastanawiaj się nad tym, czy stąd zlecisz czy nie, tylko popatrz przed siebie – wskazał ręką na miasto pod nami.

Widok był... nie powiem, że ładny. To było miasto, w dodatku nie jakaś bardzo urokliwa dzielnica, z tym, że widziana z góry. Jednak było w nim coś fascynującego. Z tego miejsca widziało się więcej niż będąc na dole, miało się ogląd całego osiedla.

– Zobacz, ktoś karmi gołębice! To urocze – pokazałam na jakąś osobę otoczoną ptakami, będącą teraz wielkości owada.

– Super, teraz parapet od wewnątrz będzie oszpecony jakimś tanim zielskiem, a od zewnątrz gołębiami odchodami.

– Dlaczego ty taki jesteś, na litość?! Człowiek karmi gołębice, to jest rozczulające. Siedzi i cieszy się z takiej małej rzeczy. A ja się cieszę z mojego małego odkrycia. To jest świetna perspektywa do obserwowania.

– Jakoś nie myślałem o tym, żeby szpiegować ludzi. Lubię tu przychodzić. Jesteś daleko od tego co na ziemi, można na moment uciec od życia.

– Weź, to nie 1984, ja po prostu przez moment na nich patrzę.

– Czytasz Orwella? – spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

– A co, nie wyglądam na kogoś, kto może czytać Orwella?

– Szczerze mówiąc, prędeż bym cię podejrzewał o nienawiść do gołębi.

– Jak śmiesz?! – oburzyłam się ironicznie, a Ignacy się zaśmiał. – Jak to? To ty umiesz się śmiać? Już prędzej bym cię podejrzewała o miłość do paprotek.

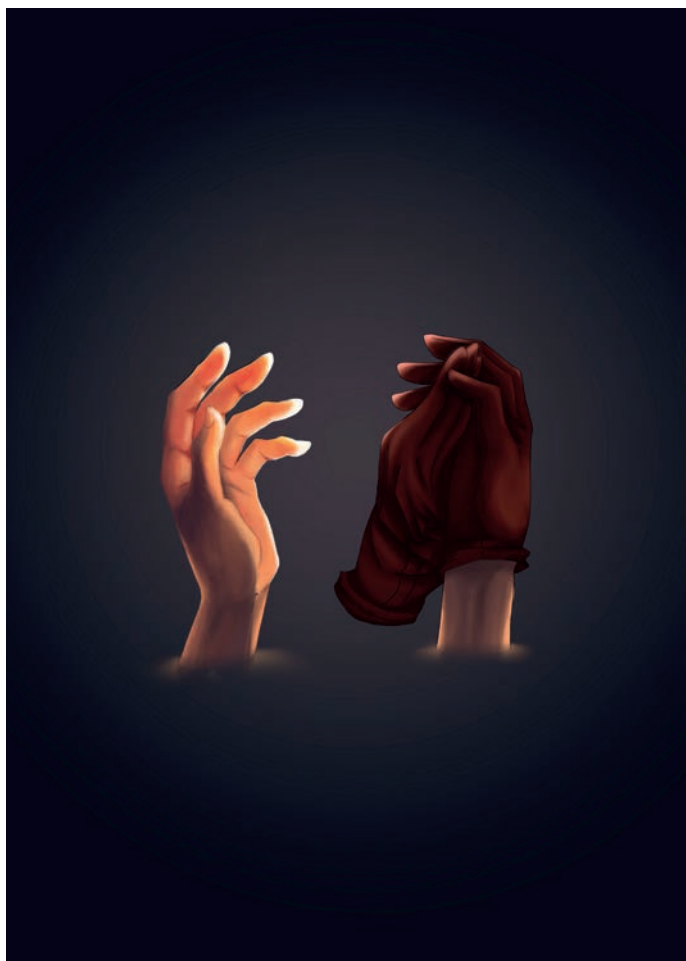
– Niespodzianka – ponownie się zaśmiał.

Czas do wieczora spędziliśmy, rozmawiając na dachu. Można powiedzieć, że powoli się do siebie przekonywaliśmy.

Tydzień po pamiętnym podwieczorku Ignacy, jak można się było spodziewać, nie dał się przekonać do udziału w warsztatach z szycia toreb. Jednak gdy wychodziłam na spacer, by nie udusić się w oparach octu, którym ciocia odkamieniała czajnik, zobaczyłam jak Ignacy podlewa umierające paprocie.

– Co ty robisz? – przystanęłam.

– Pomyślałem, że śmierć poprzez wyschnięcie na klatce schodowej musi być bardzo bolesna – uśmiechnął się pod nosem.



Hania Czaban

Historia o pięciu rękawiczkach

Istnieje subtelna różnica pomiędzy czuć i być.

Być w moim przypadku znaczy istnieć. Można przecież istnieć, nie czując, nie da się jednak czuć, nie istniejąc.

Ja – mimo że nie czuję – istnieję.

Nie czuję smutku ani zapachu. Nie czuję żalu ani chłodu. A jednak jestem nimi. Jestem: smutkiem, zapachem, żalem. Jestem chłodem, lodowatym podmuchem zimna w bezgwiazdną kwietniową noc.

Poczujesz mnie, gdy musnę twój policzek. To paradoksalne – tylko w ten sposób mogę sprawić, że przekonasz się o moim istnieniu. Zadrżysz i otulisz się ciaśniej płaszczem. Czujesz to? Jestem drzeniem liści i zmarzniętych przewodniów; szelestem gałęzi i pospiesznie zapinanych kurtek; gniewem, który łamie drzewa i parasole, a ty możesz poczuć mnie każdą komórką swojego ciała.

Bo dla ciebie jestem uczuciem.

Dla siebie – po prostu jestem.

Zbliżam się, a ty o tym wiesz. Zimna noc staje się jeszcze zimniejsza, lodowata ciemność uderza cię w twarz. W jej cieniu zaplątał się kosmyk twoich włosów, który teraz wpada ci do oczu.

Odgarniasz go z poirytowaniem, trochę niezdarnie, bo choć nosisz rękawiczki, dłonie skostniały ci z zimna. Naciągasz głębiej czapkę – chłód jest naprawdę przejmujący. W końcu jestem tuż obok.

Nie widzisz mnie? Cóż, musisz uwierzyć, że mówię prawdę.

Nie mam w zwyczaju rzucać słów na wiatr.

Komu jak komu, ale mi zwyczajnie nie wypada.

Mamy ze sobą naprawdę wiele wspólnego. Nietrudno to zauważyć, jeśli wiesz, czego szukać. Ja wiem. W ogóle wiem o tobie naprawdę dużo. Wiem, dokąd idziesz i dlaczego utrzymujesz to w sekrecie. Wiem, co nosisz w kieszeniach i w sercu.

Masz w sobie pustkę, którą wypełnić może tylko ciepło. Tak bardzo ci go brakuje. Pragniesz bliskości, ale ilekroć sobie na nią pozwalasz, twój dotyk okazuje się zimny. Mrozi.

Tęsknota za ciepłem to nie to samo co chłód. A jednak – to zaledwie o krok od przemiany w to, czym jestem.

Nie wierzysz mi? To nic. Naprawdę nic nie szkodzi. Mam za to inny pomysł: opowiem ci historię. Co ty na to? To historia o pięciu rękawiczkach. Jestem naocznym świadkiem wszystkich wydarzeń. Premiera odbywa się dzisiaj, a ty będziesz jedynym słuchaczem. To prezent ode mnie: opowieść na wyłączność. Co ty na to? Możemy zaczynać?

No dobrze, więc zaczynamy.

Pierwsza rękawiczka jest zielona, wełniana, naprawdę ciepła, choć przedtem wielokrotnie ją cerowano. Zresztą nie zawsze skutecznie; na palcu wskazującym wciąż zieje spora, postrzępiona na brzegach dziura. Pojawia się tam regularnie mimo czyichś usilnych starań. Powraca jak wspomnienie.

Zielona rękawiczka należy do małego chłopca. Chłopiec bawi się nią w drodze powrotnej do domu, na przemian wkładając ją i zdejmując. Wyskubuje przy tym sterczące tu i ówdzie nitki. Przypominają szwy, które założono mu zeszłego lata, kiedy przewrócił się na rowerze i rozciął głowę o krawężnik. W końcu nawet najwprawniej założone szwy nie mogą ukryć paskudnej rany – tak samo jak najwprawniej zacerowana dziura nie może ukryć faktu, że nie stać ich na nowe ubrania.

Wszystkie rzeczy, które nosi chłopiec, znaczą podobne blizny. Przy pomocy igły i nitki mama potrafi załatać każdą dziurę.

Każdą oprócz tej, która zieje gdzieś w okolicy serca chłopca. Tej dziury nigdy mamie nie pokazał – a nawet gdyby to zrobił, nic by nie zobaczyła. Poglaskałaby go tylko po głowie i powiedziała: „jakoś to będzie”. Mówi tak często, a wówczas dziura w sercu chłopca staje się odrobinę większa.

To właśnie dlatego chłopiec tak bardzo nienawidzi tych swoich pocerowanych rękawiczek i sterczących na wszystkie strony nitek. Myśli właśnie o tym, że kiedy dorośnie, nie będzie musiał cerować żadnych ubrań.

I wtem – zderza się ze mną.

Biorę go w ramiona, podświadomie domyślając się drżącego ciepła jego ciała. Przez chwilę ludzę się nawet, że będę w stanie je poczuć, ale nie czuję nic. Po prostu jestem, a chłopiec w mojej obecności zaczyna trząść się z zimna.

Przed chwilą zdjął rękawiczkę i teraz czuje na skórze ukłucie miliona lodowatych igieł. Odruchowo wciska dłoń do kieszeni, nieopatrznie upuszczając przy tym rękawiczkę na ziemię. Natychmiast ją chwytam i unoszę ku górze, coraz wyżej i wyżej, gdzie dziecko nie może jej dosięgnąć. Bawię się sterczącymi

zielonymi nitkami – ale chłopiec już wyciąga po nią rękę, rozpaczliwie próbuje ją chwycić.

Mogę sprawić, że mu się to nie uda. Wystarczy cień mojego oddechu, by rękawiczka wzniosła się pod niebo i rozplynęła w chłodnym błękitcie. Ale nie robię tego. Pozwalam chłopcu chwycić skrawek materiału i oddaję mu jego zgubę.

To dobry omen. Gdy zwracam komuś rękawiczkę, oznacza to, że w przyszłości dopisze mu szczęście. W przeciwnym wypadku... Zresztą, czy ma to jakieś znaczenie? Lepiej nie zawracaj sobie tym głowy, jeszcze nie.

W końcu zostały nam jeszcze cztery rękawiczki.

Druga z nich jest niczyja. Kiedyś musiała być szara, może nawet biała – teraz jednak jej kolor przywodzi na myśl gnijące liście i słodkawą, duszącą woń rozkładu. Jest sztywna od kurzu i ziemi, przed którą niegdyś chroniła dłoń pewnego mężczyzny. Minęły lata, odkąd elastyczny materiał po raz ostatni przywierał do twardej, naznaczonej bruzdami i zgrubieniami skóry.

Teraz mężczyzna nie żyje, a jego córka używa starej ogrodowej rękawicy, by zablokować od zewnątrz okiennicę za każdym razem, gdy nocami wymyka się z domu. Przez okno. Przytrzymując się rynny, po kracie na róże i w dół, jak po drabinie. Trawnik tłumi jej kroki, kiedy niby cień przemyka przez zaniedbany ogród. Potem wystarczy tylko przesadzić płot i oto dziewczyna znajduje się po drugiej stronie ogrodzenia, w ciasnej uliczce, która w bladym świetle księżycy równie dobrze mogłaby być leniwą rzeką albo olbrzymim cielskiem martwego węża.

Tam, poza kręgiem żółtawego światła rzucanego przez pobliską latarnię, stoi on.

Chłopak, który kradnie jej oddech, noce oraz duszę.

Tej nocy ma do pokonania tę samą drogę.

Ostrożnie przekłada nogę przez parapet, który pokrywa cienka warstwa śniegu, i myśli o nim. Wyraźnie widzi jego twarz: łagodne rysy wykończone blaskiem księżyca, gwiazdzisty aksamit skóry, na której migoczą nieodkryte dotąd konstelacje. Srebrne iskiarki w jego oczach wskazują drogę dziewczynie, która nie zwraca uwagi na stojącą na oknie pustą skrzynkę po kwiatach. Tylko cudem udaje jej się o nią nie zahaczyć – traci jednak równowagę i desperacko wczepia palce w krawędź parapetu. Rękawiczka, którą miała zablokować okiennicę, wypada jej z ręki i znika w ciemności.

Tym razem waham się tylko chwilę. Kusi mnie, żeby spróbować ją włożyć, sprawdzić, czy pamiętam jeszcze, jak to jest – nosić rękawiczki, nosić cokolwiek – ale przecież nie mam dłoni, nie mam nawet ciała, a ta rękawiczka w ogóle nie nadaje się do noszenia.

W następnej chwili dziewczyna łąduje na trawie tuż obok mnie i szybkim ruchem podnosi z ziemi zgubę. Myśli, że na szczęście nie spadła za daleko, że to dobrze, że wiatr nie jest tej nocy zbyt silny i że uniósł rękawiczkę zaledwie kawałek, kilka kroków stąd. A ja stoję obok, niemalże w bezruchu i patrzę, jak dziewczyna wspina się po kracie, blokuje okiennicę rękawiczką i rozplywa się w mroku, jak gdyby pochłonięta przez niebo.

Złapała rękawiczkę, a więc dopisze jej szczęście – tej nocy i każdej kolejnej – chociaż ona nie ma o tym pojęcia. Nawet nie zdaje sobie sprawy, jak niewiele brakowało, by rękawiczka zniknęła w ciemności, a okiennica zatrasnęła się z hukiem za jej plecami.

Trzecia rękawiczka pachnie starą szafą, impregnatem do skór i lawendowym preparatem na mole. To naprawdę porządna rękawiczka, bardzo elegancka – wykonano ją przed laty ze skóry kozłłej i podbito puchatym, mięciutkim futerkiem. Jej kolor przywodzi na myśl cappuccino popijane z gustownej filiżanki w kawiarni, tej modnej, gdzie w cenę napojów wliczone jest wrażenie, że na ułamek sekundy zastyga się w olejnym bezruchu na obrazie w stylu art déco, a do osiągnięcia pełni klasy i ponadczasowości brakuje już tylko cygaretki, kapelusza i sznura pereł, i może jeszcze okularów przeciwsłonecznych, żeby zupełnie przemienić się w hollywoodzką gwiazdę ekranu z lat trzydziestych.

Ale właścicielka rękawiczki nie przebywa w Los Angeles ani nawet w modnej kawiarni. Nie żyje też w latach trzydziestych, tylko w dziewięćdziesiątych, i siedzi teraz w kościelnej ławce, zimnej i twardej jak granitowa płyta. Przynajmniej jej rękawiczki są ciepłe, a na dodatek tak miękkie, że gdy kobieta czuje na skórze delikatne laskotanie futerka, na ułamek sekundy zapomina o panującym w kościele chłodzie i grobowej, pełnej napięcia ciszy.

A potem ciężkie drewniane drzwi otwierają się na oścież. Powietrze rozdziera huk organów i do ciemnego kościółka wdziera się lawina bieli – wirująca masa płatków śniegu i frezji, i skrawek welonu targanego lodowatym podmuchem. Dopiero wtedy pojawia się my: drobna sylwetka panny młodej, która zdaje się emanować blaskiem młodości i rześkiego zimowego popołudnia oraz ja. Cień. Obecność. Chłód, który sprawia, że

otulone grubym futrem ramiona kobiety pokrywają się gęsią skórą.

Gdy panna młoda przekracza próg kościoła, zamykam ją w pozbawionym ciepła uścisku i w przyplwywie fantazji rozdynam tiul i koronki jej sukni, dzięki czemu przez chwilę wygląda, jakby unosiła się nad ziemią. Wygląda jak anioł i na ułamek sekundy się nim staje.

Siedząca w ławce kobieta o tym wie. Odurzona tą świeżością, tą niewinnością i olśniewającym pięknem, które biją od dziewczyny w bieli, bezwiednie zdejmuje skórzaną rękawiczkę. Być może ludzi się, że wchłonie światło przez skórę i sama cofnie się do lat swojej młodości, do czasów sprzed zmarszczek i farbowania włosów.

Tylko ja to zauważam i w następnej chwili jestem tuż przy niej. Delikatnie wyjmuję z jej dłoni rękawiczkę z koźlącej skóry i gładzę ją z namaszczeniem, jakby była relikwią.

I poniekąd tak jest. Koźlęca skóra nie ma zmarszczek ani nie nosi znamion czasu. Impregnat wystarczy, żeby uchronić ją przed rozkładem. Jest martwa, lecz piękna, niemal wieczna, podczas gdy kobieta, która nosi tę rękawiczkę, przemija – i boleśnie zdaje sobie z tego sprawę.

Składam na rękawicze zimny pocałunek, a następnie ostrożnie odkładam ją na kamienną posadzkę.

Kobieta podrywa się z miejsca, zaskoczona. Czuje ułucie bólu w kolanie, gdy w pośpiechu próbuje wydostać się z ławki. Dopada swój skarb na środku kościelnej nawy w chwili, w której dociera do niej także panna młoda. Obie schylają się jednocześnie i ich palce stykają się w powietrzu, tuż nad podłogą. Nagle młodsza z nich nieznacznie cofa dłoń. Choć z pewnością

nie pamięta tamtego nocnego spotkania w ogrodzie, podświadomie czuje, że tym razem to nie ona powinna sięgnąć po rękawiczkę. W końcu to starsza kobieta podnosi zgrabę z podłogi i ze słabym uśmiechem usuwa się w cień.

Patrzy, jak jej córka z gracją płynie w stronę ołtarza, gdzie czeka na nią on.

W garniturze wygląda nienagannie. Jest zaskakująco eleganci; w końcu strój jest markowy i kobieta domyśla się, że pan młody wydał na niego wszystkie swoje pieniądze. Nie życzy córce źle, w żadnym wypadku, obawia się jednak, że chłopak z ubogiej rodziny nie zapewni jej życia, do jakiego dziewczyna przywykła. Życia, na jakie zasługuje.

Żeby chociaż dopisało im szczęście! Ale jest luty, a przecież ślub w miesiącu bez litery „r” nie może oznaczać niczego dobrego.

Kobieta zapewne zmieniłaby zdanie, gdyby tylko wiedziała o zielonej rękawicze odzyskanej kiedyś przez chłopca w pocerowanym ubraniu. Albo o starej ogrodowej rękawicy, którą wiele lat później złapała jej córka, wymykając się na potajemne spotkanie. Gdyby chociaż pomyślała o tym, że przed chwilą sama dostała ode mnie z powrotem ukochaną rękawiczkę z koźlącej skóry!

Ale w tamtej chwili myśli kobiety pochłaniała wyłącznie uroczystość zaślubin, szczęście przemknęło więc boczną nawą niezauważone.

Czwarta rękawiczka nie wyróżnia się niczym szczególnym. Jest całkiem zwyczajna, wykonana z czarnego polaru. Zajmuje naprawdę niewiele miejsca – można włożyć ją do kieszeni albo

torebki – a przy tym jest skromna i zapewnia swojej właścicielce ciepło.

Skromna i ciepła: taka właśnie jest kobieta w szarym filcowym płaszczu. Jej twarz wygląda całkiem zwyczajnie. Kolor jej włosów trudno określić, tak samo jak wiek. Na pierwszy rzut oka nie ma w niej nic wyjątkowego.

A jednak kobieta w szarym płaszczu przykuwa moją uwagę.

Chodzi właśnie o to bijące z niej ciepło – ciepło, które zauważam, ale którego mimo wszystko nie czuję. Nie w sensie fizycznym.

Obejmuję nieznajomą z całych sił, łudząc się, że może uda mi się coś poczuć. Cokolwiek! Dotykam jej twarzy oraz skrawka nagiej szyi, z której zsunął się szal. Unoszę jego koniec i spletam frędzle z przędzą nieba; mój oddech sprawia, że na ułamek sekundy ożywają i zamieniają się w rój brązowych motyli.

W końcu jednak szal opada na plecy kobiety, która idzie dalej, zupełnie niewzruszona. Podchodzę bliżej. Lgnę do niej, bo wiem, że pod szarą maską zwyczajności kryje się coś, czego tak bardzo pragnę.

Ku memu zdumieniu kobieta w szarym płaszczu nadal wydaje się odporna na zimno. Nawet nie drga, gdy przeczesuję palcami jej włosy – i wiem już, że lata dzielenia się dobrocią uczyniły ją obojętną na chłód.

Ciepło, jakie w sobie nosi, nie jest przeznaczone dla mnie. Zachowuje je dla tych, którzy w jej odczuciu najbardziej go potrzebują – małych dusz drżących z zimna, chociaż w domach, gdzie mieszkają, ogrzewanie działa bez zarzutu. To naprawdę piękne domy, olbrzymie i imponujące. I puste. Rozbrzmiewają cieniami i echem, i mają w sobie coś z wartych fortunę

marmurowych grobowców, wewnątrz których od samego kamienia zimniejsi są tylko jego mieszkańcy.

Takie grobowce nie są dobrym miejscem dla dzieci.

Kobieta w szarym płaszczu stara się ogrzać je swoją obecnością. Czyta maluchom książki o dobroci, przyjaźni i miłości. Uczy je samodzielności, bo wie, że w przyszłości będą jej potrzebować, i daje im ciepło, bo potrzebują go już teraz. Rozmawia z nimi i cierpliwie odpowiada na wszystkie pytania. Kocha tę ich ciekawość, której nie mać strach przed pomyłką i niezrozumieniem. Ani strach przed samą odpowiedzią, która zmusi pytającego, by zajrzał w głąb swojej duszy i zmierzył się z czymś, o czym wolałby zapomnieć.

Kobieta w szarym płaszczu odpowiada na wszystkie pytania, na które potrafi – a odpowiedzi na pozostałe szuka razem z dziećmi w książkach bądź też pyta o nie znajomych. Jest tylko jedno pytanie, na które jak dotąd nie znalazła satysfakcjonującej odpowiedzi, chociaż pada ono często z ust dziewczynek i chłopców, zarówno tych młodszych, jak i starszych.

Dzisiaj także je usłyszała. Dziecko miało pięć lat i siedem miesięcy.

– Dlaczego tak długo ich nie ma? – spytało, przyklejając czoło do kuchennej szyby.

Kobieta odpowiedziała tak jak zawsze. Mamusia i tatuś są w pracy, muszą tam chodzić, żeby zarabiać pieniądze, ciężko pracują, bo bardzo cię kochają, skarbie, ale zaraz wrócą, już niedługo, niedługo...

Tylko że maleństwu chodziło o coś innego, kobieta była tego świadoma. Mimo to nie powiedziała ani słowa więcej, a gdy tata

dziecka wrócił z pracy, pożegnała się i założyła płaszcz. Wychodząc, rzuciła jeszcze ostatnie przelotne spojrzenie na wiszącą w przedpokoju fotografię. Przedstawiała państwa młodych: szczupłego, przystojnego chłopaka w odrobinę za luźnym garniturze i dziewczynę, na oko dwudziestoletnią, która w targanej wiatrem sukni z tiulu i koronki wyglądała, jakby unosiła się w powietrzu. Tuż obok stała kobieta w eleganckim futrze i skórzanych rękawiczkach. Nie patrzyła w obiektyw, ale w bok, na pannę młodą. Wyraz jej twarzy pozostawał nieodgadniony.

Wokół zalegał śnieg – może dlatego patrząc na to zdjęcie, kobieta w szarym płaszczu odniosła wrażenie, że bije z niego chłód.

Ale teraz, idąc przed siebie, nie myśli już o fotografii. Emanuje miłością do świata, a ja tylko muskam jej czarną rękawiczkę z polaru. A potem odchodzę, bo wiem, że nic tu po mnie.

Kobieta nie zwraca na mnie najmniejszej uwagi.

Pamiętasz ją? Oczywiście, że pamiętasz. Zawdzięczasz jej światło, ciepło i czułość, z jaką ożywasz świat.

Myślisz, że ona by zrozumiała? Że mogłaby być powierniczką twojego sekretu?

Widzę, że moja opowieść cię zaskoczyła. Nie powiedzieli ci nigdy o pocerowanej zielonej rękawiczkę? Ani o tej ogrodowej, którą twoja mama zabezpieczała okno, gdy wymykała się na spotkania z tatą?

Nie, oczywiście, że nie.

Myślisz, że to niesprawiedliwe. Że to nie mogli być ci sami ludzie. Że musiała zajść w nich jakaś przemiana, metamorfoza.

Może zapomnieli o swoich rękawiczkach, potem zaś – o całej reszcie.

Jak to możliwe, że dwoje ludzi, którzy spotykali się potajemnie w blasku księżycy, zabrania spotykać się wam? Dlaczego musisz wymykać się ukradkiem z domu, żeby móc ogrzać skostniałe z zimna dłonie i zamarznięte serce bliskością drugiego człowieka?

Nie znam odpowiedzi na żadne z tych pytań. Jestem tylko chłodem, lodowatym pocałunkiem północy, a gdy zbliżam się, żeby pocieszyć cię swoją obecnością, ty osłaniasz przede mną twarz. Mimo to dotykam twojej skóry, głaszczę cię po policzku. Chcę złapać cię za rękę, poczuć – choć to przecież niemożliwe – cokolwiek.

Ale gdy tylko muskam twe palce, ty wrywasz się z uścisku. W dłoni zostaje mi jakiś bezkształtny przedmiot. Rękawiczka.

Oczywiście, że tak. Piąta rękawiczka.

Zabranie ci jej nie było moim zamiarem. Ta historia miała potoczyć się inaczej, przysięgam. Chcę oddać ci rękawiczkę, ale ty zrywasz się do biegu, tniesz obsydianową ciemność jak ostrze. Poczekaj, chcę krzyknąć, ale to niemożliwe. Zdobywam się jedynie na cichy szept, który po chwili przechodzi w szum. W biegu dotykam twojego ramienia, szarpię za włosy – ale już znikasz. Nie odwracasz się za siebie, nie rozglądasz na boki.

Czuję, że słabnę. Ostatnim wysiłkiem podrywam piątą – twoją – rękawiczkę z chodnika i próbuję wcisnąć ci ją do kieszeni. Odskakujesz jednak, a potem znikasz za rogiem. I tyle. Nie mogę zrobić nic więcej.

Teraz jestem tylko tchnieniem, milczącą obecnością. Mogę jedynie patrzeć, jak wybiegasz z za żywopłotu i wpadasz na ulicę, prosto w powódź światła, która zmywa noc z gęstej czerni asfaltu. W tym rażącym blasku przez ułamek wieczności płoniesz jak gwiazda – a potem gaśniesz. Nagle i na zawsze.

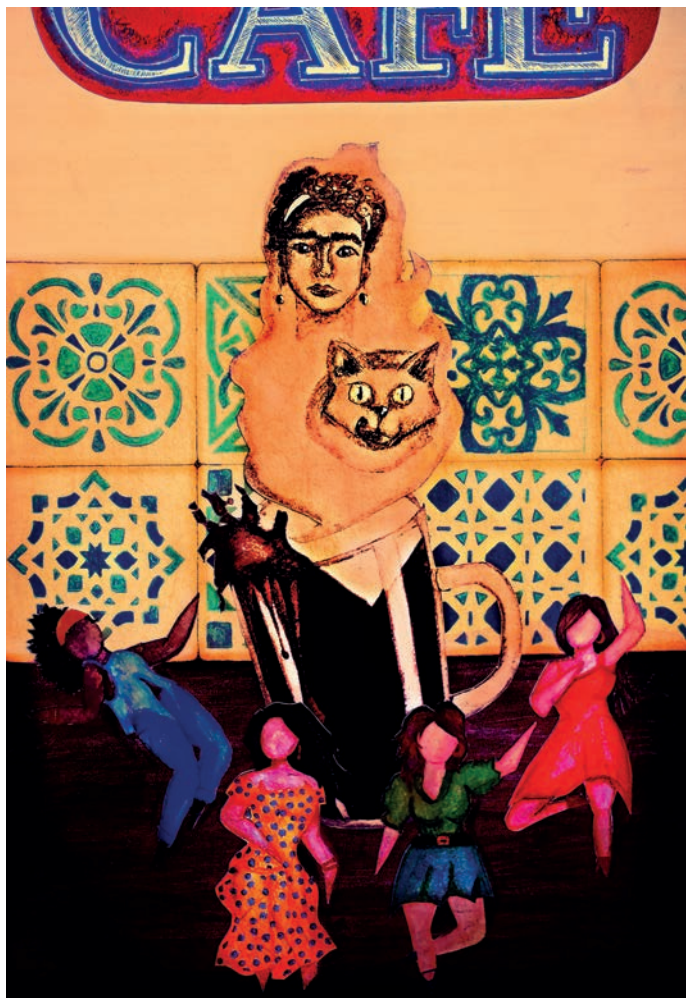
Przez krótką chwilę unosisz się nad ziemią. Wyglądasz jak anioł i na ułamek sekundy się nim stajesz. A potem dołączasz do mnie. Wyczuwam twoją obecność; po raz pierwszy, odkąd sięgam pamięcią, naprawdę coś wyczuwam. Wyczuwam, że jesteś.

Jesteś – i nic więcej. Jesteś: smutkiem, zapachem, żalem. Jesteś chłodem, lodowatym podmuchem zimna w bezgwiezdną kwietniową noc. Patrzysz i widzisz ciało, które kiedyś należało do ciebie. Rzeczywiście wyglądasz jak anioł. Zamiast skrzydeł rozpościerasz palce. Są białe jak śnieg.

Witaj w świecie nocy.

W moim świecie.

Czy ktokolwiek zada sobie pytanie, co stało się z piątą rękawiczką?



Robert Szostakiewicz

Saudade

Stała, a smugi wieczornego słońca wpadały przez szpary w drzwiach kawiarni i delikatnie nakłuwały jej twarz. Jednocześnie była wszędzie, jak błękitne *azulejos*, na których przez wieki malował się obraz ludzkich istnień. Tworzyły panoramę łez, strachu, pragnienia, wymiocin, tańca, narodzin i śmierci, wody święconej i seksu. Przydeptywane w tamtej chwili przez bose stopy kobiet przyjmowały ciężar kolejnych doświadczeń. Uderzeniom stóp rytm nadawał akordeon, a sercom – śpiew. Rytm żyć kobiet gubił się gdzieś we wspólnym tańcu i ciepłe; były bowiem w miejscu, w którym mogły nim oddychać. Śmigła wentylatora delikatnie osuszały spocone twarze, zalane napojami białe, zapłakane chusteczki. Wyśpiewywane przez Nią słowa dumy wpływały w atmosferę i narkotyzowały całe miasto.

„...*E o sol penetrou no meu coração...*”¹.

Obdarte ze skóry budynki tatuowano na żywym mięsie. Z zaniedbanych elewacji odchodziła farba, wielkimi miękkimi plamami oddzielała się od fasad budynków i spadała na wyłożone drobną, nieregularną kostką chodniki. Ulice miasta były jak

¹ „A słońce przeniknęło moje serce...”

jego żyły, a ludzie kluczący nimi jak tlen, dzięki któremu mogło żyć. Wielokolorowe graffiti pozostawione na gołych murach kamienic było spuścizną po samozwańczych artystach, a tworzone przez nich w zrywie niekontrolowanego ekshibicjonizmu dzieła, jakimś cudem przetrwały do dziś. Majestatyczny portret Fridy Kahlo przyozdobiony roślinkami, trawkami, porostami, które wyrastały z każdego wyszczerbienia w budynku. Wysprawy na szybko penis w aureoli, podpis nie do odczytania, niedaleko herb ulubionego klubu, a obok niego przekreślony literą X inny. Dalej, ktoś daje upust swoim pragnieniom, napisane na czarno „fuck me, fuck me”, poniżej małymi cyframi numer telefonu. Gdzieś poetyckie cytaty, sentencje, przemyślenia, wolno puszczony myślótok, znaczenie nie do odkodowania. Gdzie indziej ktoś rozpoczął grę słów, *serpente* wyrazów, przedstawiając pięć filarów lizbońskiego życia: „fuck..., face..., fade..., faith..., fate...”. Obok, kolorem żółtym, kolorem wiecznego lizbońskiego słońca, ktoś dopisał dokończenie ciągu: „.... fado, fado, fado, fado...”.

Kawiarnia, w której tańczyły kobiety, była opatrzona tylko niebieskim neonem „CAFÉ” i pełniła rolę jednego z wyjątkowych miejsc, do których szło się dzielić niewypowiedziane tęsknoty. Sklecone z podłużnych desek drzwi wejściowe nigdy się nie domykały, a słowa specy: „Niech pani się nie martwi, na sznurek pani zamknij”, szefowa Cesária przyjęła z pełnym zobowiązaniem. Według niej drzwi do Café mogłoby nawet nie być; wstęp był tutaj zawsze dla każdego i każdej. Przez źle wycięte drzwi sztuczne światło mieszało się ze światłem słonecznym, a dźwięki ulicy z dźwiękami stolików. Zdaniem Cesarii było to jednak miejsce kompletne, absolutne. I co z tego, że drzwi, że

się nie domyka, komu to wadzi, Amália, komu? Café jest dobre takie, jakie jest. Obyłoby się nawet bez drzwi.

Cesária triumfalnie patrzyła na salę pulsującą od wspólnego tańca kobiet. Podskakujące włosy, unoszące się i opadające piersi, klaszczące dłonie tworzyły obraz budowanej przez lata wspólnoty, z której była najbardziej dumna. Stała za barem i przysłuchiwała się głosowi śpiewaczki, głosowi swojego serca. Uroniła kilka łez, tak aby nikt nie widział.

„Lisboa, não tristeza, Lisboa...”²

W środku tańczyła najmłodsza ze wszystkich kobiet. To był jej pierwszy dzień w kawiarni. Być może nie pochodziła stąd, była tu nowa. Cesária przywołała pamięcią ich wspólne przywitanie, pierwszy uścisk, splot ciał, który zawiązał nić zrozumienia. Wydarzyło się to nieco wcześniej, w gorętszej porze dnia, kiedy dziewczyna uchyliła drzwi i niepewnie wkroczyła do środka. W lokalu panował gwar, rozmowy z różnych stolików nakładały się na siebie i tworzyły jeden donośny głos. Powietrze stało, tłum ludzi sprawiał, że wewnątrz było jeszcze goręcej niż na dworze. Café wypełniało wieczne ciepło, z którego korzystali ci, którzy chcieli uchronić się przed powiewem wszechpanującej oziębłości. Także i ona wpadła w tę piękną pułapkę. Do wejścia zwabił ją wydobywający się z kawiarni śpiew, słyszany przez wszystkich, którzy przechadzali się tamtą ulicą. Dziura w sercu, brakujący puzzle, łamiąca strata, bolesne pragnienie – jakaś nieuświadomiona potrzeba skłoniła ją do przekroczenia progu. Drzwi zaskrzypiały, wprawione w ruch kolorowe szkiełka powitały ją dźwięcznym stukotem. Cesária uniosła oczy

² *„Lizbona, żadnego smutku, Lizbona...”*

i odwzajemniła czuły uśmiech, który otrzymała od kobiety na przywitanie.

– *Café por favor* – powiedziała i położyła monety na blacie. Cesária odliczyła odpowiednią kwotę i schowała pieniądze do kieszonki w spodniach. Starymi, popękanymi dłońmi nalala kawę do przezroczystej szklanki, którą razem z resztą monet przesunęła jednym ruchem w stronę kobiety. Kropla kawy przeleciała się przez krawędź, spłynęła wąską strużką w stronę drewnianego blatu i wpłynęła do szpary. Ile kropel wypięła ta szpara, ilu ludzi pocałowała ta szklanka. Za każdym pocałunkiem kryła się inna historia, inne uczucie, inny powód. Kilka łez uronionych przez kobietę było wytryskiem nasienia melancholii, innej formy przyjemności. Starła się płakać tak, aby nikt nie widział. Cesária złapała ją za rękę i spytała:

– *Proszę pani?*

Pierwsze słowo – „proszę”. Tylko właściwie o co prosiła? Nie o zapłatę, tę już otrzymała; nie o opuszczenie lokalu, który był wiecznie otwarty; nie o wyjaśnienie, dlaczego płacze, bo to już wiedziała. Kobieta nie odpowiedziała, otarła tylko łzy i w ucieczce przed oczami Cesarii odwróciła twarz. Swoją wzrok zawiesiła na pieśniarce, której szerokie usta kształtowały dźwięki zarówno bolesne, jak i błogie. Stukot buta, kłaśnięcie w udo. Na początku nic, inna wrażliwość. Łyk kawy, głęboki wdech, po policzku spłynęła kolejna łza. A tamta wciąż śpiewała. Jeszcze bardziej dramatycznie, symfonią cierpienia królowa utęsknienia przemówiła do swoich poddanych. Na skroni dziewczyny coraz silniej odznaczały się żyły, twarz ukryła w dłoniach. Głos pieśniarki tylko przybierał na sile; był jak niewidzialny, monumentalny pomnik fado, które mieszkańcy Lizbony od lat

przyjmowali razem z mlekiem matki. Głos, który zawsze trafia w głęboko ukryte w podświadomości nuty, wywoływał nieoczekiwane wzruszenie.

Kolorowe szkiełka zabrzączały jeszcze kilka razy, wszyscy wchodzący czule witali się z Cesárią, jakby znali ją od zawsze. Gdy dla kogoś brakowało miejsc przy stolikach, Cesária przynosiła z zaplecza kolejne krzesła i taborety – w Café zawsze znalazła się przestrzeń dla każdego. Jasne koty lizbońskich ulic przychodziły tu zwabione nęcącym zapachem kawy. Wchodziły przez uchylone drzwi i piły wodę z tych samych szklanek, z których pili ludzie. Szklanka z niedopitą kawą dziewczyny pozostawiła okrągły, mokry ślad na blacie. Jej wzrok utkwiony był wtedy w naruszoną zębem czasu posadzkę, która przez lata wytrwale przyjmowała ciosy stóp, sztućców, szklanek. Cesária położyła swoją podobnie doświadczoną dłoń na plecach kobiety, a jej dwie tęgie wargi skurczyły się w geście troski. Do kawiarni wszedł jeszcze jeden klient, szkiełka odezwały się po raz ostatni. Sens słowotoku, w który kobieta przekuła swoje uczucia, był dla Cesării łatwy do odgadnięcia.

– *To uczucie, jak nazwać to uczucie?* – mówiła, biorąc po drodze jeden głęboki oddech. – *Szczęście? Jestem szczęśliwa. Ale to coś więcej. Sprzeczność. Wszystko się zmienia, porusza. Ale jest jeden constans. Tęsknię. Nie wiem za czym, nie wiem dlaczego. Wiem tyle, że to nie wróci. Dlaczego cierpię?* – spytała, nie oczekując odpowiedzi. Przeczesała włosy obiema dłońmi i jednym łykiem dopiła resztkę wystygłej kawy. – *Jej śpiew, to miejsce. Ludzie z dumą w oczach. A jednocześnie siła. Moje siostry, są zjednoczone* – i wskazała na kłębiące się przy śpiewaczce kobiety. Następnie spojrzała Cesării w oczy, a jej twarz zalał wodospad łez.

– *Ale jak to nazwać...?* – I z zaciśniętymi mocno ustami zaskomlała kilka razy, a jej każdy kolejny skowyt wydawał się być bardziej przenikliwy od poprzedniego. Kilka osób odwróciło się w jej stronę. Szczery, wydarty z głębi ciała prymitywny odgłos, był jedynym sposobem, w jaki potrafiła wyrazić to, co czuje. Cesária ze spokojem pokiwała głową i wtuliła się w towarzyszkę. Odgarnęła zmierzwione pęki włosów, które przykleiły się do twarzy dziewczyny na lepką mieszaninę potu i łez. Przyłożyła swoją twarz do jej twarzy, policzek do policzka i wyciągnęła dłoń przed siebie.

Podczas tańca kobiety tworzyły na płytkach wieczny grawer wspólnego doświadczenia. Trzymały się za ręce, a swoje ciała oddawały rytmowi melancholijnego utworu. Pieśniarka stała na niskim podeście, smugi wieczornego słońca wpadały przez szpary w drzwiach kawiarni i delikatnie nakłuwały jej twarz. Jednocześnie była wszędzie, swoim głosem napełniała każdą komórkę ciał wszystkich zgromadzonych. Śpiewała o Lizbonie, szukaniu miłości, wspólnocie i stracie. I o Cesárii, jej Aniele Stróžu. I o tańczących siostrach, wymieniających ze sobą objęcia, i o Café, które od zawsze było domem ich wszystkich. Zżółknięte, pobrudzone szyby. Konający gdzieś w kącie wypalony papieros. Rozkoszny zapach kawy. Jej głos. *Lisboa, velha cidade. Cheia de encanto e beleza. Sempre a sorrir tão formosa. E no vestir sempre airosa*³.

Na zniszczonych ścianach, z których przez wiele lat stopniowego rozkładu złuszczyła się prawie cała farba, wisiało kilka

³ *Lizbona, stare miasto. Pełna uroku i piękna. W przewiewnym ubraniu zawsze uśmiechnięta.*

malowanych ręcznie obrazków. Siedząca przy barze dziewczyna omiotła spojrzeniem każdy z nich. Na pierwszym para w miłośnym uścisku, niemal pornograficzne ujęcie kochających się ludzi, dłoni przy dłoni, język przy języku. Potem twarz Fridy Kahlo, wizerunek legendy wiecznie żywej, na drugim końcu świata podziwianej nie mniej, niż w swojej dalekiej ojczyźnie. Dalej obraz – ktoś na łożu śmierci. Gasnące istnienie jak gasnący płomień świecy namalowanej przy łóżku nieboszczyka. Czarny krzyż na kolejnym płótnie znajdował swych adresatów pośród głęboko wierzącego portugalskiego ludu, czego dowodem był wytarty przed nim fragment podłogi. Następny obraz – młoda kobieta, siedzi na krześle z rękami podpartymi na postawionym wyżej blacie. Nastrój melancholii, szare barwy, smutne oczy pogodzonego ze swoim losem człowieka. Ostatni był największy, być może najstarszy, a na nim kreślony czarnym tuszem profil ciemnowłosej śpiewaczki. Okrągły kolczyk w uchu, ramiona okryte czarnym szalem. Pieprzyk na policzku. Różaniec na szyi. Wisząca obok portretu mała tabliczka przykuła uwagę młodej kobiety. Wstała od baru i podeszła przyjrzeć się kilku wybitym na niej znakom:

M. S. 1820 – 1846

„Młodo” – pomyślała, i oparła się plecami o ścianę. Usłyszała wtedy szybszy, bardziej radosny rytm, wygrywany przez akompaniujących kawiarnianej pieśniarce gitarzystów. Ktoś włączył magnetofon, z którego wydobyły się głośne dźwięki akordeonu. Kilka kobiet wstało od stolików i zerwało się do wspólnego tańca. Obserwowała ich żywe ruchy, usta ułożone w szczerym

uśmiechu. Podskakujące włosy, unoszące się i opadające piersi, klaszczące dłonie. Jedna z kobiet opuściła resztę i podeszła do dziewczyny tanecznym krokiem. Pstrykając rytmicznie palcami powiedziała:

– *Vamos dançar Saudade, agora Funaná*⁴.

⁴ *Chodź tańczyć Saudade, teraz Funaná.*



Konstancja Cegłowska
Przeurocze dmuchawce

Kawiarenka pensjonatu była już otwarta. Właścicielka, pani Maria, wraz ze słodziuchną wnuczką Amelią, uwijały się już za ladą. Przy stoliczkach okrytych czerwonym sukniem siedzieli najprzeróżniejsi ludzie. Studenci, aby rozbudzić się i umilić sobie marny żywot, samotnie popijali mdłą kawę z piankami; emerycy radośnie rozmawiali, objadając się tłusciutkimi pączkami, a nauczycielki pospiesznie sprawdzały sprawdziany i kartkówki. Nagle, powiewając przesadnie długą peleryną, pewnym krokiem wszedł do środka wysoki młodzieniec w kapturze. Wszyscy spojrzeli na niego podejrzliwie. Nikt go tu wcześniej nie widział. Jedna z dostojnych babć od razu odezwała się do drugiej, plotkując zapewne o nowoprzybyłym. Chłopak podszedł do baru z jasnego drewna z pięknymi tłoczeniami, przetarł przekrwione oczy i zamówił butelkę korzennego piwa. Wszyscy oczywiście uważnie się przyglądali. Zakłopotana pani Marysia uprzejmie odpowiedziała, że mają piwo korzenne jedynie w ofercie weekendowej.

– W sklepach też nie ma alkoholu ani żadnych niezdrowych produktów. Wasze miasteczko jest bardzo dziwne... – skomentował młodzieniec.

– Dbamy o zdrowie naszych dzieci i innych mieszkańców. Pokazujemy, że można jeść pyszne posiłki i znaleźć radość w zdrowszych alternatywach.

– To co pani proponuje? – spytał uprzejmym głosem, jednak z wyczuwalną nutą goryczy.

– Proponuję czekoladę na gorąco z syropem imbirowym i piankami w skorupce cukrowej. To nasza słodka specjalność! – wyrecytowała serdecznie gospodyni.

– Ależ zdrowe..., zapewne z nieetycznych upraw wykorzystujących niewolniczą pracę dzieci.

– Skądże! Nasze produkty są oznaczone certyfikatem jakości naszego miasteczka.

– Dziękuję, zatem biorę. Wiem, że Wanilin ma wysokie standardy – uśmiechnął się z przekąsem.

W czasie całej rozmowy Amelka stała u boku babci. Grubą kredką zapisała zamówienie gościa i podbiegła, przebijając nóżkami, do małej, specjalnie dla niej zaprojektowanej aparatury kuchennej, aby je zrealizować. Pani Maria przyglądała się poczynaniom wnuczki, siedząc na krzeselku i porządkując pieniądze w srebrzystej kasie ze ślicznymi tłoczeniami. Tymczasem tajemniczy gość usiadł w obszernym białym fotelu po drugiej stronie lady. Gdy zdjął kaptur, gościom i gospodyniom ukazały się gęste, prawie białe włosy zdobiące smutną, obwisłą twarz. Wszyscy zdziwili się bardzo, bo nigdy nie widzieli tak posępnego człowieka. Wkrótce powrócono do rozmów i przerwanych zajęć. Amelka podeszła do przybysza, wręczyła mu zamówione czekoladę i pianki, a następnie popatrzyła prosto w oczy i szczerze zapytała:

– Dlaczego jest pan taki smutny?

– Mam tak od początku, ale to bardziej nostalgia, znużenie i znużenie.

– Co to znużenie?

– To takie uczucie.

– Coś, co się czuje w środku, głęboko, o tu? – przerwała mu dziewczynka, wskazując na swoje serce.

– Tak. Co najbardziej lubisz jeść? – spytał przybysz.

– Ciasteczka maślane z posypką owocową – wyrecytowała niczym prawdziwa gospodyni.

– A więc znużenie to takie uczucie, gdy musiałabyś ciągle piec swoje ulubione ciasteczka, ale nie mogłabyś ich zjeść.

– Ale pieczenie byłoby fajne i mogłabym jeść inne słodczyce i pomagać babci Marysi!

– No... To może zły przykład – westchnął zrezygnowany chłopak.

– Ale czemu nie przestanie być pan taki smutny?

– Nie chcę – uśmiechnął się lekko. – Lubię smutek... Zanurzyłem się w nim już po kostki.

– Pan w nim pływa?

– Można tak powiedzieć – uśmiechnął się nieco szerzej, aczkolwiek nie szeroko i wziął łyk ultra-uroczej czekolady. Uśmiechnął się jeszcze szerzej i mała łza wypłynęła mu z jednego oka. Dziewczynka zdziwiła się, przekrzywiła lekko główkę i spytała:

– A teraz dlaczego pan płacze? Jest pan smutny?

– Płaczę ze wzruszenia – przetarł przekrwione oczy wielkimi kościstymi dłońmi.

– A czy to dobrze?

– Amelciu, już wystarczy, nie męcz naszego gościa. Czy mogę pana o coś zapytać? – Pani Maria wstała i zbliżyła się, nachylając do nieznanego.

– Tak, oczywiście.

– Czy pan się dobrze czuje, czy z panem wszystko w porządku...? – załamała ręce. – W naszej okolicy nigdy nie widziałam tak smutnego człowieka. Dlaczego pan płacze? Mogę panu pomóc? Mogę przygotować pokój... zrobić więcej czekolady, może pomoże? To pianki z naszej lokalnej, etycznej manufaktury Wanilin!

– Wszystko w porządku, niech pozwole mi pani tutaj po prostu zostać. Jestem zmęczony podróżą, ale odczuwam ulgę, bo już tutaj dotarłem – złapał dłoń gospodyni, pogładził ją i kiwnął głową, upewniając się, że oboje się uspokoili.

Wkrótce gość skończył poczęstunek i pani Maria zaprowadziła go do małego, równie przeuroczego pokoiku na górze, gdzie przybysz się rozpakował. Postanowił się zadomowić na stałe.

Nazajutrz, kiedy zszedł na posiłek, od razu zaczęła go mała Amelka. Tym razem chłopak usiadł przy ślicznym, czerwonym stolczku z dwoma białymi fotelami. Dziewczynka z łatwością więc się do niego przysiadła:

– Czy dzisiaj też jest pan smutny?

– Już mniej – skłamał, aby nie martwić dziecka, miał bowiem trochę rozsądku.

Zjadł w milczeniu posiłek, przerażony małą wesołą istotką wlepiającą w niego swoje wielkie oczy. Był szczerze zaskoczony, gdy dziecko zaprosiło go na spacer po okolicy. Musiał się jednak zgodzić i już wkrótce paradowali wspólnie po malutkim,

kolorowym miasteczku, jeszcze bardziej przesłodzonym niż kawiarenka. Widzieli kamieniczki w równych rządках i obrzydliwie uroczą szkołę obrośniętą bluszczem. Licealiści ubrani w różowe mundurki wybiegali radośnie, spiesząc do ukochanych domów. Wszędzie mieniły się kwiaty, a z budynków ulatywała woń waniliowych świec i wosków pachnących watą cukrową. Zobaczyli także skwer z klombami pełnymi mleczy i dmuchawców. Dziewczynka zaczęła je zrywać i wręczyła je przybyszowi prosząc, aby wymyślił życzenie.

– Dobrze, jednak dmuchawce źle mi się kojarzą.

– Dlaczego? – spytała ciekawska dziewczynka.

– Bo według mnie symbolizują moją sytuację.

– Symbolizują?

– Czyli po-ka-zu-ją moją sytuację.

– Dlaczego?

– Nie uważasz, że dmuchawce są trochę nieudolne, czyli, inaczej mówiąc, nieporadne? Boją się wiatru. Są słabe, a potem rozpadają się na miliard małych nasionek, które równie nieudolnie próbują na nowo wzrastać?

Dziewczynka zaczęła się serdecznie śmiać. Jej dźwięczny piskliwy głosik odbił się echem po całym miasteczku. Słysząc go było w każdej uroczej kamieniczce. Młodzieniec był bardzo zmieszany, ale lekko się uśmiechnął. Dziecko w końcu się uspokoiło.

– Nigdy nie usłyszałam czegoś takiego! Dmuchawce są piękne i silne, to moje ulubione roślinki. Owszem, rozpadają się, ale potem odradzają jeszcze piękniejsze i wcale nie boją się wiatru, tylko stawiają mu czoła.

Te słowa zostały przybyszowi na długo w pamięci. Pozostał w pensjonacie. Zaczął się schludniej ubierać i pozdrawiać gości słabym uśmiechem. Niestety nie odwzajemniali serdeczności i wkrótce zaczęli unikać jego wzroku. Nadal ich odstraszał uroda upiora i ustami zwiniętymi w podkówkę. Dlatego pani Maria zaczęła się niepokoić.

Razu pewnego, dość delikatnie zwróciła na to uwagę przybyszowi:

– Dzień dobry!

– Dzień dobry – młodzieniec uniósł podejrzliwie brew, bo zauważył, jak kobieta nerwowo międlila swój różowy przeuroczy fartuszek.

Postanowił jednak zamilknąć i pozwolił jej kontynuować.

– Bo jest taka delikatna sprawa... Nie chciałabym zażmiec niegrzecznie, bo jest pan bardzo wartościową osobą, ale ten pana smutek, odstrasza mi pan klientów...

– Zauważyłem – westchnął. – Niech pani mi powie, co mam zrobić? Mogę się nawet wynieść. Nie chcę, żeby miała pani przeze mnie problemy.

– Ależ ja pana uwielbiam! Nie wyrzucę pana, niech pan się rozchmurzy, będzie mniej smutny. Może niech się pan bardziej kolorowo ubiera i schodzi na dół, gdy będzie najmniej klientów... – załamała ręce. – No nic... Może zrobię panu herbatkę ziołową z płatkami róży i syropem waniliowym na koszt firmy?

– Nie trzeba, ale ma pani rację. Słyszałem, jak pani Fiołek i Kozłowska obgadywały mnie, rzucały tyle oszczerstw, że się nie tak ubieram, że co to za nieszczęśliwy człowiek. Nie przeszkadza mi to, jestem smutny z wyboru i rozumiem niechęć mieszkańców tego przeuroczego miasteczka – powiedział

z lekko drwiącym uśmiechem, wstał od baru i wyszedł pewnym krokiem.

Kawiarenka pensjonatu była już otwarta. Staruszka, pulchniutka zapewne od pączków i innych słodkości wraz z uroczą młodą dziewczyną i wysokim mężczyzną w powiewającym przesadnie długim płaszczu, uwijali się za ladą. Przy stoliczkach okrytych czerwonym sukniem siedzieli najprzeróżniejsi ludzie. Studenci samotnie popijali mdłą kawę z piankami, aby rozbudzić się i umilić marny żywot. Emerycy radośnie rozmawiali, objadając się tłusciutkimi pączkami, a nauczycielki pośpiesznie sprawdzały sprawdziany i kartkówki. Nagle, powiewając przesadnie długą czarną sukienką, weszła do środka pewnym krokiem drobniutka kobieta. Wszyscy spojrzeli na nią podejrzliwie. Nikt jej tu wcześniej nie widział. Jedna z dostojnych babć od razu odezwała się do drugiej, zapewne plotkując o nowo przybyłej. Dziewczyna podeszła do baru, przetarła przekrwione oczy i zamówiła butelkę korzennego piwa. Wszyscy oczywiście uważnie się przyglądali. Mężczyzna zza lady przywitał serdecznie przybyszkę i rzekł:

– Niestety nie mamy piwa, ale serwujemy inne słodkości. Polecam czekoladę, pomogła umilić mój smutek. Pamiętaj, ludzie są jak dmuchawce. Nie boją się wiatru i chociaż czasem rozpadają się na miliard małych nasionek, to tylko po to, by znowu wzrastać do pięknej postaci. Ale ty nie musisz od razu być przeurocza jak one!

– Dzięki za piękne słowa – odrzekła dziewczyna, zdjęła płaszcz i wszyscy ujrzeli jej bujne, niebieskie włosy.



Michalina Łata

Ikaria

Leciata, daleko od swojego gniazda. Kłęby obłoków otulały ją jak puch, a słońce rozlewało ciepło po ciele. Obok niej cała rodzina wymachiwała trzema parami skrzydeł. Tańczyła w powietrzu z rodzeństwem, ścigała się z matką i śmiała. Była szczęśliwa!

Bez uprzedzenia wiatr wezbrał na sile. Ukuł ją cierń niepokoju. Nie była w stanie utrzymać się w powietrzu. Straciła z oczu znajomą sylwetkę. „Mamo! Zaczekaj! Nie zostawiaj mnie!” zawołała, lecz gwałtowny podmuch porwał ją w wir piór.

A p s i k .

Dziewczynka kichnęła cieniutko niczym brzęknięcie trąconej porcelany. Delikatnymi dłońmi odsunęła szamoczące się kłębki piór od swojego zaróżowionego noska.

– Przepraszamy, siostrzyczko! – smocze maleństwa z odrobiną skruchy zaprzestały bitwy na niby.

– Pisklaki... pozwólcie mamie jeszcze chwilę pospać... wyjdźcie pobawić się na zewnątrz... – zagulgotało w gardzieli zaspanej smoczycy, której powieki nawet nie rozwarły się jeszcze.

Porcelanowa laleczka leżała na miękkim posłaniu z pierza, słomy i mchu, skulona w szklistej powłoce własnego ciała.

Dzięki sferycznym stawom mogła poruszać palcami, rękami, nogami, obracać głowę i giąć się w pasie. Z pleców, nad łopatkami, wyłaniał się wstydlivy ciężar, porcelanowy nowotwór, para skrzydełek, niezdarnych i sztywnych.

Opierała się o pokryty łuskami, ciepły bok matki, wznoszący się i opadający miarowo, przykryta jej opierzonym skrzydłem. Bezpieczne gniazdo uwito w jaskini wapiennej na zboczu góry, gdzie ostał się również las, który kusił zapachami i pełnią życia.

Słońce dopiero wschodziło, ale cztery brzuchy już domagały się napełnienia. Dlatego smocza matka laleczki, Pasifea, zabrała swój klucz piskląt na polowanie. Droga po skalistym zboczu wiodła zdradliwie. Podczas gdy smoki bez przeszkód parły do przodu, laleczka kurczowo trzymała się kamiennej ściany urwiska i zostawała w tyle. „Uważaj!”, krzyknęło któreś z rodzeństwa. Niewielka lawina kamieni osunęła się spod jej nóżek. Wstrzymała oddech i z trudem odzyskała równowagę. Było jej wstyd, że sama nie była wystarczająco czujna. Matka zauważyła to zajście i skłoniła się w stronę córki, zapraszając ją do wejścia na potężny smoczy grzbiet. Jednakże dziewczynka odmówiła i dotarła do lasu u podnóża góry o własnych siłach.

Puszcza była gęsta i pełna głosów. Smoczyca i jej młode dawno już rozdzieliły się i polowały, podczas gdy porcelanowa dziewczynka dopiero samotnie wkraczała w zielone poszycie. W tym świecie każdy polował dla siebie. Zamknęła oczy, wciągnęła powietrze. Lekki wiaterek o zapachu drzew przyprawił ją o dreszcz. Ruszyła ostrożnie przed siebie, wypatrując skarbów. Była ciekawa, co świat miał tego dnia do zaoferowania. Jej wzrok przyciągnęła kropla krystalicznej żywicy, wypływająca z pnia sosny. Dotknąwszy migoczącej substancji, cofnęła

się zdziwiona – lepka maź została na porcelanowym paluszku. W tej samej chwili kukulka, wieszcz lasu, odezwała się trzy razy, niczym bijący dzwon życia. Coś, może trzask łamanej gałązki, spłoszyło ptaka, który odleciał w nieznanne. Porcelanowa laleczka stała przez chwilę, bursztynowymi oczkami lustrując miejsce, gdzie zniknął i zadumała się: tak jak ptak korzysta z wiatru, by uciec przed strachem, tak ona nie mogła użyć swojego strachu, by uciec przed wiatrem. Bezwzględnie, korzeń jej samotności, lęku, marzeń, żalu, obawy czerpał trujące soki z niemożliwości lotu. Porcelanowe skrzydła były gładkie, kruche i delikatne jak u marnego owada. Chłodny podmuch w cieniu lasu, wywołany nieznaną siłą, wzbudzał w niej dreszcz, pociągał w jej wnętrzu coś, czym jednak nie mogła się stać. Bała się przepaści niepewnej przyszłości, bo nie umiała pokonać jej z lekkością ptaka. Odczuła ulgę, gdy kukulka zniknęła. Nie mogła ani latać, ani zabijać jak prawdziwy smok.

Odkąd pamiętała, żyła z rodziną smoków. Pasifea opiekowała się nią jak własnym pisklęciem mimo szyderstwa jej znieruchomiałych skrzydeł i wzdurliwych prychnięć smoczego ludu. Wiosna po wiosnie znajdowali coraz mniej pożywienia i coraz rzadziej napotykali smoczych sąsiadów. Ci w końcu odeszli do obiecanej ziemi, lecz Pasifea została. Wszystko ze względu na nią – istną maskarę nieszczęścia.

Potrząsnęła głową, westchnęła i schyliła się, by zebrać z krzaka ciemne jagody. Porcelanowe palce zginały się z leciutkim chrzęstem sferycznych zawiasów, gdy odrywały owoce z gałązek. Jagody, inaczej niż ptaki, nie uciekały, czekały spokojnie, aż porcelanowa dziewczynka napełni nimi swój koszyk. Po powrocie do gniazda oddała swój wkład do posiłku: upolowanego przez

matkę młodego jelenia. Smoczyca upiekła go jednym zionięciem ognia i podzieliła między wszystkie dzieci. Nic nie jest w stanie ograniczyć miłosierdzia matki wobec potomstwa, nawet tak nieudolnego jak porcelanowa lalka. Świadomość własnej bezradności przytłaczała dziewczynkę jak głaz zarzucony na plecy. Od wielu dni z coraz większym trudem przeżywała jedzenie.

Gdy słońce stało wysoko, siedziała na krawędzi klifu i chłonęła wzrokiem rozległe niebo, otulona świeżą bryzą. Jej smoczy brat Deda i siostra Lusa popisywali się wymyślnymi saltami w powietrzu. Smoczęta igrały ponad przepaścią. Bawiły się w najlepsze. To ścigały się z gracją, to wykonywały różne figury, aż sypały się lotki. Daleko na horyzoncie dało się dostrzec rozległe morze, ale w dole ziała jedynie skalna pustka. Pasifea opowiadała, że niegdyś woda docierała aż po te skały, ale świat bardzo się zmienił. Dziewczynka chciała złapać jedno z opadających piórek, lecz zachwiała się i szybko odsunęła dalej od krawędzi.

Jak bardzo chciała do nich dołączyć! Posiadała skrzydełka, jednakże w odróżnieniu od smoczyc były nieopierzone, wrosnięte w plecy, nieruchome na zawsze. Cóż zawiniła światu, by tak z niej drwił? Były szyderstwem, którego w swojej głowie słuchała niemal co dnia: no dalej, polec za nimi, to w końcu twoja rodzina! Wtem bursztynowa smuga przecięła niebo. To smocza matka zjawiła się i ofuknęła pisklęta:

– Dedarion, Lusana, ostrożnie!

Smoczyca pozostała ostatnią, zamieszkującą tę pustoszejącą krainę. Dawniej odpowiadała, że zaczeka, aż jej smoczęta dorosną na tyle, aby móc latać. Jednak widocznym już było, że

dobrze radzą sobie w powietrzu. Tylko dziewczynka nie umiała latać. Z jej powodu zostali – tak, to była właściwa przyczyna. Nienawidziła się za brak umiejętności, której tak potrzebowała.

Podkuliła kolana pod brodę. Wiatr ponad klifem nasilił się. Smoczęta igrały w jego słonych podmuchach. Pływały się w słońcu, beztrudnie rozbrykane niczym podniebne dokazujące zrzebięta.

– Bestyjko, czy coś cię trapi? – smocza matka wylądowała przy córce i objęła ją pierzastym skrzydłem, chroniąc od blasku bijącego z oddali.

Dziewczynka pokręciła tylko głową i skruszona, odwróciła wzrok.

Krótko potem, nie czekając na rodzinę, sama ruszyła w drogę powrotną do gniazda. Po drodze zbierała opadłe piórka – przydadzą się na miękką wyściółkę posłania. U wejścia jaskini potknęła się i w próbie złapania równowagi zamachała garściami pełnymi piór. Gdyby rodzeństwo ujrzało ją w tej sytuacji, na pewno zostałaby wyśmiana. Jednak do głowy przyszedł jej pomysł. Garście piór do złudzenia przypominały załączki skrzydeł. Uśmiechnęła się. Większe pióra i lotki ukryła w szczelinie skalnej.

Przez kolejne dni skrupulatnie szukała piór odpowiednich do swojego zbioru. Studiowała wzrokiem każdego napotkanego ptaka: to maleńkie, zwinne wróbelki, to pohukujące złowieszczko sowy. Wsłuchiwała się w rady słowika, który codziennie śpiewał z niewątpliwym przekonaniem o swej wyższości. Fascynowały ją drapieżne orły i sokoły, fantastyczni lotnicy i myśliwi. Zazdrościła im, że tak bezbłędnie wykorzystywały swe umiejętności. Zauważyła, że kruki, które zdawały się takie ponure,

były niezwykle zaradne i radziły sobie z każdą trudnością. Bardzo chciała być taka jak one. Podziwiała majestatyczne czaple, które wyciągały szyje aż do samego nieba. Sroki szczególnie ją interesowały. Te niesforne złodziejki zaprzestawały swoich obowiązków i powinności, gdy tylko ujrzały lśniący kamyk bądź muszelkę. Natychmiast pikowały i zabierały skarb do gniazda, nie zważając na niebezpieczeństwa. Dziewczynce bardzo to coś przypominało. Zbierała pióra zgubione na skalnych półkach, osiadłe na leśnym runie, a nawet pozostałości po uczcie drapieżnika. Jednak największe wrażenie wywierały na niej smoki. Jedno machnięcie skrzydeł pozwalało im pokonywać góry i lasy! Och, jak bardzo pragnęła im sprostać, szybować razem z rodziną w przestworzach, dotknąć słońca i gwiazd!

Pewnego dnia zebrała w lesie żywicę, później zaś, nocą, gdy wszystkie smoki zasnęły, wymknęła się z gniazda, zabierając ze sobą swe zbiory. Przymierzyła pióra, kładąc je na ramiona. Wśród ptasich, były tam również pióra rodzeństwa i smoczej matki, zbierane ukradkiem, gdy tylko je gubili. A poza nimi sterówki i lotki, szerokie i wąskie, o barwie pstrokatej i ciemnej, w prążki i nakrapiane, opalizujące i smolistoczarne, bezszelustne pióra sowy uszatej, a nawet zadarty czubek czajki zwyczajnej. Pasowały jak ulał. To były jej nowe skrzydła. Każde piórko starannie przykleiła do swojej porcelanowej skóry płynnym bursztynem. Rozpostarła ramiona i z dumą przyjrzała się swemu dziełu. Zerwała się z miejsca, pobiegła naprzód, zanosząc się dziecięcym chichotem. Podskakiwała, tańczyła w przedsmaku ekstazy. Kręciła się pełna gracji, jak wirujące płatki kwiatów opadające z drzewa, jak zagubione pyłki dmuchawca obracane wiatrem. Czy tak to jest latać? Czy z tymi skrzydłami

mogłaby...? Zbyła tę myśl jako niedorzeczną. To przecież tylko zabawa. Porcelanowa maskara w udawanej roli tej, którą nigdy nie była: rebelią wbrew codzienności.

Gdy bezwiednie dotarła na klif, uderzył w nią silny podmuch od morza. Dlaczego nie mogę latać? Musi być jakiś powód. Oni już wkrótce odlecą. Zostawią mnie tutaj. Opuszczą mnie i zostanę sama. Nie mogą mnie opuścić, prawda? Nie mogli.

Wówczas jej stopy zapuściły się za daleko. Wir słonego powietrza wytrysnął spod klifu. Ujął jej pióra jak żagiel i wzniósł nieznacznie nad ziemię. Porcelanowe skrzydelka nieporuszone sterczały na plecach, lecz stało się to, czego pragnęła: sprostą wyzwaniu i wyruszyła w podniebny taniec.

Po chwili spadała.

Imitując rodzeństwo rozpościerające skrzydła, desperacko wyciągnęła na boki wątle ramiona. Zamachała nimi. Zamknęła oczy. Pęd powietrza smagał jej pokryte szkliwem ciało, a ona, ku swemu zdumieniu, poczuła się lekka. Płynęła w przestworzach własnego umysłu i pierwszy raz poznała siebie. Różowe usteczka wykrzywił uśmiech. Ujrzała obraz rodziny szybującej razem z nią na niebie, przemierzającej wspólnie góry i doliny na krańce świata. Porcelanowej laleczce zdawało się, że otula ją wieczność, gdy tak naprawdę trwało to zaledwie chwilkę. Niestety, czegoś zabrakło.

B r z d ę k .

Porcelanowa skorupka roztrzaskała się na milion kawałków. Jej życie było tak kruche.

Dziewczynkę zalał ból każdej pękniętej krawędzi. Chciała krzyknąć, lecz głos uwięził jej w gardle, które już nie istniało.

Glazurowe odłamki włosów zmieszały się z piórami. Perłowe serduszko zostało starte na proch.

Rozbita, leżała u stóp klifu, na kamienistej plaży z której cofnęło się morze i tonęła spojrzeniem w gwiazdach. Nie wierzyła, by ktoś zdołał poskładać ją w całość. A może? Pęknięte bursztynowe oczko, w którym odbijał się teraz niepełny obraz, przedzielony ostrą porcelanową krawędzią, chłonęło ostatnie w swoim życiu pobłyski gwiazd. Niespodziewanie rozżarzona kometa przecięła swym pierzastym warkoczem ciemność nocnego nieba. Blask, niczym ogień, odbił się w szklistych drobinach porcelany. Taki piękny lot! Podziwia się je i prosi o spełnienie marzeń. Dziewczynka pomyślała, że wypełniła już swoje własne życzenie. Nie mogła zapomnieć tej jednej chwili, w której poczuła się naprawdę wolna: jak ptak, jak smok, jak kometa.

Podziękowała rodzinie za daną szansę z nadzieją, że wiatr uformuje myśli w szept, który dotrze do tych, którzy zaopiekowali się zagubioną porcelanową dziewczynką.

Jedynie spadająca gwiazda wędrująca w tamtej chwili przez nieboskłon mogła dostrzec, że na pękniętej twarzyczce dziewczynki widniał delikatny, spokojny uśmiech. I tylko słońce następnego dnia mogło usłyszeć smoczy lament straty.



Alicja Kot

Dom ciotki

Pomimo wszelkich starań mojego ojca musiało się to stać. Chociaż chciałabym powiedzieć, że nie pragnęłam tego, jednak kłamałabym. Uciekanie od problemów leży w ludzkiej naturze; w mojej to niestety niesamowicie widoczne...

A więc tak, za dwa tygodnie wprowadzam się do ciotki. Ojciec oczywiście twierdzi, że matka mnie przekupiła lub kazała to zrobić, ale nie, to była moja decyzja. Pod pretekstem, że to dla jego własnego dobra, że on się zarazi, a wtedy to się źle skończy... Była to moja decyzja: żeby uciec od moich rodziców i ich ciągłej kontroli. Jak się to stało?

Szczerze mówiąc, mam dość opowiadania tej historii, bo tak bardzo zniekształcona jest przez moje uczucia, którym nie ważne, jak mocno się przeciwstawię, zawsze pozostawią ślad, jak barszcz na białej koszuli. 29 grudnia 2022 roku dostaliśmy diagnozę mówiącą, co tak naprawdę się z ojcem dzieje. Od dwóch tygodni miał guza w udzie. Myślałam sobie, że ja też mam takiego guza – rodziców. Tylko że guz nie kryje się z tym, jak bardzo jest złośliwy, a rodzice już tak. Więc dowiedzieliśmy się, że ma nowotwór. Bardzo fajny prezent na święta dla całej rodziny. Wyniki – ironicznie – przyszły akurat, gdy sama chorowałam

i miałam psychoterapię online. Kiedy się dowiedziałam, nawet łza nie spłynęła mi po policzku. Pomimo tego jak bardzo chciałam płakać, nie mogłam się zebrać do łez. Nie jestem pewna czy to dlatego, że byłam w tak wielkim szoku, czy dlatego, że nad własnym ojcem płakać nie chciałam. Z psycholożką mówiłyśmy o tym przez dziesięć minut, a potem rozmowa zabrała nas na inny tor. Rozmawiając z moją terapeutką, zawsze czuję się jak podróżny, który nie do końca wie, gdzie znajdzie się na końcu podróży.

Tego dnia chyba po raz pierwszy zobaczyłam, jak mój ojciec płacze. Pewna sadystyczna i okrutna, lecz usprawiedliwiona strona mnie, poczuła się nasycona, jakby pożerała każdą łzę, która tego dnia z jego oczu spływała i robiła z niej pięciogwiazdkowe danie. Nie miałam żadnego zamiaru go pocieszać, on nigdy nie starał się zrobić tego samego dla mnie, a niestety w moim domu zasady są jasne. Nie ma nic za darmo, na wszystko trzeba sobie zapracować. Manipulacją odpowiada się na manipulację i jak żołnierze z błyszczącymi tarczami, odbijamy sobie to oślepiające światło, które nagrzewa nasze własne tarcze, parząc ręce osób, które je trzymają.

Gdyby ktoś mnie zapytał: „Jak twoja rodzina okazuje sobie miłość?“, dziesięcioletnia ja odpowiedziałaby: „Moją jedyną rodziną jest moja siostra”. Dzisiaj odpowiedziałabym: „W naszym domu miłości się nie okazuje. Trzeba wierzyć drugiej osobie na słowo, co się często okazuje niesamowicie trudne”. Sprytnie wykorzystując sytuację, uciekłam do ciotki. Kiedy ktoś mnie pyta, czy ciotka jest „fajna”, odpowiadam im trzema – mówiącymi już za dużo o niej – słowami: „Jest trenerką jogi”. Zawsze na twarzach pojawia się uśmiech. Ze względu na wujka, ciotka jest

obrzydliwie bogata. Jej dom jest bajerancki, a pokój (w którym będę spać, bo mieszkać w pełni nigdy nie będę), pełen sprzętu do jogi, zawsze będzie mi przypominać, że to nie jest mój dom. Dostałam pozwolenie dotykania tych sprzętów, lecz gdy tylko się do nich zbliżam, czuję się jak kot, który popycha puchatą łapką szklankę w stronę krawędzi stołu.

Spróbuję opisać esencję tego domu jak najlepiej potrafię. Gdy byłam mała, szczerze wierzyłam, że jest to prawdziwa willa. Nadal posiadam tego typu odczucie. Na pewno dom jest wielki i nowoczesny, wzbudza podziw, a ogródek ciotki perfekcyjnie do niego pasuje. Na schodach do drzwi wejściowych stoją lampki, które same zapalają się chyba o 18.00 – lecz pewna nie jestem. Gdy wchodzi się do przedpokoju, trzeba zawsze rozbroić alarm, co mnie cholernie stresuje. Tuż za drzwiami wieszka się kurtkę, mija platformę połączoną ze schodami, prowadzącymi w górę na dwa piętra. Z tej platformy schodzi się trzema schodkami do hallu, a stamtąd jest pięć możliwości: iść do łazienki, garażu, kuchni, salonu lub na dwór.

W garażu nie byłam; o ogródku opowiem później. Łazienka na dole jest dość skromna, ale nadal śliczna. Płytki w błękitnym odcieniu, jednak z powodu kotów niesamowicie tam śmierdzi. Wchodząc do kuchni, mija się zamykaną szafę, chyba z butami. Kuchnia nie jest ani za duża, ani za mała, lecz jak w każdym zakątku tego domu da się w niej odczuć bogactwo. Z kuchni można wejść do salonu, przechodząc przez jadalnię, w której widnieje wielki, piękny obraz, ukazujący dwie skąpo ubrane kobiety, każdą zwróconą w inną stronę. Urzekł on mnie tak mocno, że kiedy go za pierwszym razem zobaczyłam, nie mogłam się powstrzymać i musiałam go skomplementować: „Piękny jest

ten obraz, ciociu”. Sama obejrzała obraz, jakby go pierwszy raz widziała i odpowiedziała: „Tak? Mi też się podoba”. Nie jestem pewna dlaczego, ale z powodu tej odpowiedzi poczułam się strasznie głupio.

Przechodząc do salonu, widzi się dwie białe, skórzane kanapy. Nie wiem, czy to prawdziwa skóra, lecz wątpię, gdyż ciocia zawsze była adwokatką zwierząt. Na ścianie telewizor (z niego nie korzystają) podłączony do trzech głośników. Pośrodku dwóch kanap drewniany stolik ze szklanym blatem stoi na puchatym czerwonym dywanie. Dywan ten czysty nie jest ze względu na to, że ciocia i wujek posiadają psa i dwa koty (rasowe, bo jakże by inaczej?). Na prawo od tego całego ustawienia wznosi się łuk, który dzieli salon na dwa pokoje. W tej drugiej części salonu stoją cztery roślinki, pufa i wielki drapak dla kotów. Na dole zawsze czuję się nieswojo. Skoro mam pokój na pierwszym piętrze, tam powinnam się czuć lepiej, prawda? A otóż nie! Czuję się tam jeszcze bardziej jak gość. „Czemu akurat gość, przecież to twoja rodzina?”. Ano dlatego, że gdy ciocia dawała mi hasło do wi-fi (jestem nastolatką, nie obwiniajcie mnie) zauważyłam, że mają dwa: jedno dla gości i jedno dla domowników. Chciała mi dać to dla gości, jednak nie pamiętała hasła i dała mi to dla domowników. To idealnie podsumowuje mój pobyt u niej: chciała, żebym była tylko jej gościem, lecz ja się wprosiłam na domownika.

Wracając do pierwszego piętra: sama nie wiem jak się tam czuję ani jak powinnam. Z jednej strony jestem przytłoczona, z drugiej umieram z głodu, ponieważ potrzebuję doświadczeń. Jedyne co wiem, to że mój pokój jest naprzeciwko schodów, a łazienka na prawo od nich. Ciotka nie pokazała mi reszty

pokojów ani na tym, ani na górnym piętrze. Z tego powodu jedyne, co o wyższym piętrze wiem, to że tam właśnie znajduje się ich sypialnia i łazienka. Najwidoczniej ciotka nie chciała, żebym zaburzała jej ład jeszcze mocniej.

Ostatnio w ogródku nie byłam, a nie zamierzam się tam wybierać, bo jest za zimno, więc opiszę go ze swoich wspomnień. Gdy byłam młodsza, (miałam pewnie około ośmiu lat), moja ciocia – nie często – urządzała przyjęcia rodzinne. Ja, jako najmłodsza z kuzynów (drugie najmłodsze „dziecko” jest ode mnie osiem lat starsze), naturalnie byłam zmuszona znaleźć sobie zajęcie. Miałam dość dużo szczęścia, ponieważ w ogródku stała trampolina. Jednak żeby do niej się dostać, trzeba było zejść z tarasu, jakby takiego balkonu, przejść obok rzędu wysokich drzew i dopiero za nimi ukazywał się obiekt mojego jedyne go w tamtym czasie zainteresowania. Była tam też bujawka, ale taka drewniana dla dwóch osób, więc frajdy z niej nie miałam. Idąc głębiej do ogrodu, przechodziło się obok różnych drzew i kwiatów, których nazw nawet nie znam.

Zastanawiam się, czy w tym co tu zapisałam, czuć przelewającą się zazdrość. Jeśli tak, bardzo przepraszam, lecz życie mojej ciotki wydaje się bajką – jest tak piękne, że musi być nieprawdziwe. Szczerze: wszystko u niej wygląda jak u mnie, tylko tysiąc razy bardziej wykwintnie i perfekcyjnie. Jakby życie w mojej rodzinie było na drugim miejscu, a w jej rodzinie na pierwszym. Z tego co zaobserwowałam, moja matka również tak myśli, lecz próbuje temu zaprzeczać, opierając się na fakcie, że ciotka nie jest tą dobrą, słodką i altruistyczną istotą, na jaką się kreuje. Znając ich przeszłość, zgodzę się z nią. Jednak ciotka to ciotka, więc pozostanę w jej domu tak perfekcyjnym jak u lalki.

Tak... Nazwisko naprawdę do mnie pasuje... Wpraszam się ludziom do domu, potem wyzeram zawartość ich lodówki, a oni wywalą mnie dopiero, gdy lekko dokarmią własne ego tym, że są tak świetnymi ludźmi, bo nawet cała lodówka dobrych uczynków ich nie nasyci. Utwierdza mnie w tym przekonanie, że u ciotki czuję się właśnie jak kot. Nie ich własny, och nie, raczej kot sąsiada, którego się dokarmia i czasami wpuszcza do domu, bo to przecież kot, lecz jest się poirytowanym, bo trzeba się nim zajmować, mimo że nie jest nasz. Jednak ci mili, karmiący sąsiedzi nie wiedzą, że kot ucieka z tego męczącego domu, w którym go ranią.

Kiedy porównuję dom ciotki z domem, który ciężko mi nazwać własnym, wydaje mi się, jakby ten nasz się kruszył, czekając tylko, aż jakiś gwałtowny ruch go zburzy, a biedni właściciele będą musieli płacić za naprawę. Chociaż dla mnie chyba już dawno został zburzony.

Ta myśl wynika z prostego zdania: „Chcę do domu”. Najczęściej słyszy się je w szkole już na tych późniejszych lekcjach, gdy uczniowie, zmęczeni, woleliby przejść boso po drodze pełnej szpilek, niż zostać te ostatnie 45 minut w instytucie więzienia ze zmienioną nazwą. Jednak ja wypowiadam je najczęściej, gdy w owym „domu” jestem. Zaczęłam się zastanawiać, czym dla mnie jest dom? Kot sąsiada nie zna jeszcze odpowiedzi na to pytanie, lecz może u właścicieli, którzy go karmią, wsładzie do pociągu kończącego trasę na stacji z odpowiedzią na to nurtujące pytanie?



Katarzyna Sochaj

Szept wiatru

Powiało mocno i okiennice uderzyły o ścianę chaty, ale to głośne rozmowy mieszkańców wsi wybudziły Dobromirę z ciężkiego snu. Osiemnastolatka podniosła się, przetarła oczy i wyjrzała za okno. Chciała dowiedzieć się, o czym to znowu mówi wieś. Zmarszczyła brwi, bo zobaczyła tylko kłębowisko ludzi, a ich głosy zlepiły się w niezrozumiały hałas. Nie była w stanie nic pojąć. Zmieniła nocną koszulę na grubszą, cieplejszą sukienkę, a niesforne włosy ukryła pod wielobarwną chustą, którą zawiązała na głowie.

Wybiegła z chaty, aby sprawdzić, co się tym razem dzieje. Czyżby ktoś komuś ukradł krowę? A może znowu komuś dach się zawalił? Ruszyła w kierunku rozdrażnionego tłumu. Wieje dziś tak mocno, może faktycznie czyjąś chałupę zdmuchnęło, pomyślała, rozważając powrót do domu, do ciepłego łóżka. Jednakże, gdy tylko zbliżyła się do tłumu, podeszła do niej jej matka. Kobieta zaczęła wymachiwać rękami i zawołała:

– Dobromira, zobacz co to się porobiło! Bolesław utonął!

Córka spojrzała na nią zdziwiona. Nie do końca rozumiała, co się dzieje. Po chwili usłyszała resztę głosów, w tym głos swojej ciotki.

– Na co on w taką wichurę poszedł te rybska łowić? Przecie to ino widać, że Strzybóg jakiś niezadowolony, skoro takie wiatry zsyła, a ten się jeszcze na łódkę pakował!

Matka dziewczyny pokręciła z niesmakiem głową.

– Wanda ma rację. Bogowie są ostatnio wyjątkowo markotni. Czego on oczekiwał, idąc na łowy?

– Ale co się dokładnie stało? – spytała Dobromira, rozglądając się po tłumie.

– A co się mogło stać? Polazł se rano rybki łowić, a jak wiatr buchnął, to mu ino łajbę wywaliło do góry dnem i poszedł jak kamień w wodę. No, a że to rano było, to nad jeziorem pustki. Dopiero jak Mirek poszedł trochę wody do cebrzyka nabrać, to znalazł wywróconą łódkę, a Bolesława ani widu, ani slychu. Wiatr go ubił, ot ci historia – włączyła się do rozmowy karczmarka. Zarządzała ona gospodą, od której Nowa Karczma wzięła swoją nazwę. Kobieta zawsze wszystko wiedziała i zawsze miała rację, jak na karczmarkę przystało. Dobromira zmarszczyła swoje jasne brwi i spuściła wzrok w ziemię.

– Wiatr ubił Bolesława – wyszeptwała.

Po dłuższym czasie poruszony tłum rozpiezchł się i każdy wrócił do swoich codziennych zajęć. Dobromira postanowiła udać się do karczmy, aby jeszcze trochę porozmawiać z właścicielką – Godzimirą, gdyż przypadek nieszczęsnego rybaka bardzo ją zainteresował, a zarazem nappełnił niepokojem.

– Ale że co chcesz jeszcze wiedzieć? Nic więcej do powiedzenia ni mom – rzuciła kobieta, energicznie wycierając kufel. Za jej plecami stało jeszcze wiele mu podobnych, czekających na swoją kolej, naczyń. Dobromira uwielbiała tę wiejską karczmę. Zawsze była pełna ludzi, czasem również podróżnych. To wtedy

właśnie pod dachem ze strzechy aż roilo się od najróżniejszych opowieści. Izba była przestronna i ciemna, drobne świece, rozstawione na belkach wspierających drewnianą konstrukcję chaty i niektórych stolikach, nie były w stanie jej całkowicie oświetlić, a okna wpuszczały niewiele światła. W powietrzu unosił się przyjemny zapach kwiatów, którymi udekorowano pomieszczenie oraz dymu z kominka, który znajdował się zaraz naprzeciwko wejścia.

Dobromira upiła pianę ze swojego kufła, nie spuszczać Godzimiry z oczu.

– Co się tak gapisz, jak krowa na miedzy? Wyjrzyj sobie za okno, oczywistym jest, że to wiatr jest temu winny. O, słuchaj ino, jak wieje. Tego nam we wsi brakowało jeszcze – kobieta pokręciła głową. Była wyraźnie podenerwowana i wylewała swoje uczucia podczas wycierania kufli. Dobromira obejrzała się za siebie, w kierunku okna, za którym widać było tylko kładące się pod naporem wiatru drzewa oraz niebo zasnuwane szarymi chmurami przygnanymi przez wiatr. Dziewczyna patrzyła, jak podmuchy zrywają sąsiadom pranie ze sznurów i łamią co mniejsze gałęzie.

– Kiedy będzie pogrzeb Bolesława? – zapytała, wciąż nie odrywając wzroku od okna. Godzimira na chwilę przerwała szorowanie kufła, a z wyrazu jej twarzy było widać, że gorliwie się zastanawia.

– Zapewne wieczorem, o ile w ogóle można to nazwać pogrzebem – wzruszyła ramionami, a następnie odstawiła wytarty już kufel i zabrała się za kolejny. – Jego ciało pogrzebią ryby do spółki z babami wodnymi na dnie jeziora. My możemy ino świeczkę zapalić i tyle.

Dziewczyna pokiwała głową.
– Rozumiem – odparła.

...

Chociaż ciała mężczyzny faktycznie nie było, mieszkańcy wioski zgromadzili się na pobliskim cmentarzu. Zbudowano prowizoryczny nagrobek, na którym wypisano imię rybaka a także przyczynę jego śmierci. Dookoła było pełno kwiatów i kilka świec, które przynieśli mieszkańcy. Dobromira stała zaraz obok kapłana, ponieważ była sąsiadką nieboszczyka. Spoglądała na twarze zebranych, które co chwilę przykrywały rozwiane przez wiatr włosy.

– Zebraliśmy się tu dziś, aby upamiętnić i pożegnać naszego oddanego sąsiada, rybaka, ale przede wszystkim przyjaciela – Bolesława, który zginął śmiercią tragiczną dziś rano! – rozpoczął kapłan. Tłum momentalnie ucichł i skierował wzrok na mężczyznę, który właśnie wygłaszał swoją, jak zawsze, płomienną mowę.

– Strzybóg zesłał na naszą wieś wichurę i odebrał nam naszego brata. Niech jego dusza zostanie spokojna! – guślarz wznosił dłonie ku niebu, a mieszkańcy opuścili głowy i zamknęli oczy.

Kiedy ceremonia się skończyła, wieśniacy wrócili do domów. Dobromira usiadła na ganku i zaczęła rozwiązywać gruby, haftowany kubrak, który zawsze zakładała. Uważała, że kwieciste zdobienia idealnie pasują do jej kolorowej chusty, a dominująca niebieska barwa podkreśla kolor jej oczu. Gdy tylko zrzuciła z siebie kubrak i została w samej lnianej koszuli, poczuła, jak zimny jest wiatr, który od początku dnia hulał po wsi. Biedny

Bolesław. Nie dość, że się utopił, to ile on jeszcze musiał się męczyć w tym zimnie, pomyślała, podnosząc się. Rzuciła jeszcze ostatni raz okiem na domy. W oknach co chwilę gasły jarzące się świece, dając znak, że dla mieszkańców tej chaty nastał czas snu. Dziewczyna odwróciła się i weszła do swojego domu. Kiedy położyła się w łóżku, znów usłyszała skrzypienie okiennic i trzeszczenie krokwi nad powałą. Mam nadzieję, że tym razem wiatr nie wyszepta nam nieszczęścia, pomyślała zasypiając.

Obudziła się wraz z paniem koguta, które było zdecydowanie głośniejsze niż zwykle. Usiadła na łóżku, a następnie spuściła nogi na zimną podłogę. Na nocną koszulę zarzuciła ciepłą sukienkę, traktując piżamę jako halkę. Naciągnęła pończochy, przecesała skudłone blond włosy i związała je w tej samej, kolorowej chuście. Co ja dzisiaj mam do roboty? – pomyślała. Skoro kogut już pieje, to pewnie jest dość późno. Matula mnie ubije, zdenerwowała się w myślach i szybko ruszyła na dwór, aby wydoić krowę, o ile matka już tego nie zrobiła. Ledwo wyszła na ganek, z którego poprzedniego wieczoru spoglądała na chałupy sąsiadów, a jej oczom ukazał się ponury obraz zniszczenia. Większa część domów, które jeszcze wczoraj stały w porządku, miała pozawalane dachy, a niektóre okna powypadały z framug. Dziewczyna patrzyła na osadę wytrzeszczonymi oczami. Przetarła twarz, aby upewnić się, że nie śni.

Dobromira rzuciła wiadro i ruszyła główną ścieżką w głąb wsi. Dróżka opanowana była przez nerwowo biegające kury, które, jak się okazało, wraz z kogutem uciekły ze zniszczonego w nocy kurnika. Spotkała po drodze właścicieli ptaków. Byli równie zdenerwowani, co ich kokoszki, próbując opanować zniszczenia.

– Dobromirko, och Dobromirko! – zawołała przerażona Lesława, podbiegając do dziewczyny i łapiąc ją za ramiona. – Zobacz, no zobacz, co to się narobiło! Co Strzybogu przeszkadzały nasze kurki, no co? A dach sąsiadów? Na bogi, co to się narobiło, kochana... – westchnęła kobieta.

– Naprawdę bardzo mi przykro – odpowiedziała ze współczuciem dziewczyna.

– Na szczęście kurkom nic się nie stało. Zaraz powinniśmy je jakoś opanować. Gorzej z kogucikiem, naprawdę nie wiem już, gdzie on jest – kobieta złapała się pod boki i pokręciła głową na znak rezygnacji. Dobromira odwróciła głowę w stronę, z której dobiegały siarczyste przekleństwa i zobaczyła sołtysa wsi. Mężczyzna zaklinał się na wszystkie bóstwa i wymachiwał rękoma nad resztkami swojej stodoły.

– Ja wiem, gdzie jest wasz kogucik. Mogę go zaraz przyprowadzić – odezwała się Dobromira, wracając do rozmowy z Lesławą. Starszą kobietę widocznie ucieszyła ta wiadomość. Nieco spokojniejsza powróciła do łapania rozdrażnionych kur.

Dobromira zawróciła w kierunku swojego domu, gdzie rano zastała koguta poszkodowanych sąsiadów. Chyba nie uciekł daleko, ani też raczej nikt go nie przepędził, myślała, obserwując liście wirujące na wietrze. Czemu jesteś taki upierdliwy, co? Ja prosta dziewczucha jestem, nie rozumiem wiele, ale kto to by widział, żeby wiatr tyle złego wyrządził w przeciągu dwóch dni, odpowiadała wyjącemu wiatrowi w swoich myślach. Ptaszysko na szczęście nie uciekło i kiedy dotarła pod swoją chatę, potężny kogut dalej tam był. Wzięła go delikatnie na ręce i ruszyła z powrotem w kierunku ruin kurnika.

– Zobacz koguciku, co to się narobiło – powiedziała łagodnie do ptaka, który popatrzył na nią, jakby wszystko rozumiał.

Cały dzień upłynął Dobromirze na pomocy sąsiadom w porządkowaniu ich domów, a raczej tego, co z nich pozostało. Strzybóg okazał się bezlitosny. Duża część chat znajdujących się we wsi była w znacznym stopniu uszkodzona, nie mówiąc już o starej spróchniałej stodole Kutynów, która runęła jak domek z kart. Płoty oddzielające poszczególne gospodarstwa lub pola zostały powyrywane, a drzewa połamały się i powywracały na zabudowania, powodując jeszcze więcej szkód. Nastrój w Nowej Karczmie w niczym nie przypominał tego, który panował tam kilka dni wcześniej. Teraz zamiast radosnego gwaru i śmiechu dzieci, słychać było płacz i wyrzekanie na okrutnych bogów, czy zrzucanie winy z jednego na innych, jakby ktoś miał wpływ na to, że na jego dom runęła pobliska brzoza. Przerażone dzieci nie biegały już radośnie dookoła wsi, a zamiast tego większość z nich albo pomagała w ciszy swoim rodzicom ratować to, co pozostało, albo udała się nad jezioro, aby chociaż przez chwilę udawać, że nic się nie stało.

Czas tego dnia płynął wyjątkowo szybko. Panika mieszkańców nadawała mu nerwowy rytm. Dobromira spędziła ten dzień na pomaganiu rodzicom i sąsiadom w ogarnianiu szerzącego się we wsi chaosu. Dopiero pod wieczór znalazła wreszcie czas dla siebie.

Kiedy słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, ruszyła w stronę rozległego jeziora, w którym dzień wcześniej utopił się jej sąsiad. Pamiętając o późnej porze, wzięła ze sobą z domu niezapaloną pochodnię, aby mogła bezpiecznie wrócić do domu. Już starczyło kłopotów we wsi. To już nie będzie to samo,

pomyślała, idąc ścieżką, prowadzącą przez gęsty, wilgotny las. Uwielbiała ją. Miejsce zwykle tętniło życiem: pracowite owady bzyczały, ptaki świergotały, ludzie wylegiwali się wspólnie nad wodą. Teraz panowała tu przynębiająca cisza, od czasu do czasu przecinana okrzykami dzieci, bawiących się na pomoście.

Gdy dotarła na brzeg, od razu jej uwagę zwrócił odcień jeziora. Urodziła się tu i знаła je od dzieciństwa, a teraz wydało jej się tak zupełnie obce. Ciemna, prawie czarna, odrażająca ciecz, która wypełniała obecnie zbiornik, w niczym nie przypominała dawnego jeziora. Wzbudzała lęk, a myśl o ciele Bolesława, które było gdzieś pod powierzchnią, tylko potęgowała to uczucie. Dobromira odetchnęła głęboko, żeby się uspokoić i podeszła do grupki dzieci, siedzących na pomoście. Zimny piasek drażnił jej bose stopy.

– Dobra, ale nas przestraszyłaś! – zawołała Miłka, najstarsza z dzieciaków. – Tak cicho podeszłaś.

– A co tu strasznego? – zapytała Dobromira, chociaż sama czuła się bardzo nieswojo.

– Bo przecież on dalej gdzieś tutaj pływa! – wypalił młodszy brat Miłki, Gniewko i wskazał swoim drobnym paluszkiem na groźne jezioro. – Ciała nie znaleźli, nie? No, to wstać może jakiś upier albo inne straszidło – chłopcem wyraźnie wstrząsnęły dreszcze. Dobromira przygryzła wargę. Jej też nie podobało się, że sąsiad gdzieś tam sobie pływa, choć bardziej niż upiórów bała się trupojadów, które na pewno przyjdą, gdy tylko zwęszą ciało. Wołała jednak nie mówić o tym dzieciom.

– Nie, chyba nie... – odpowiedziała bez przekonania, żeby tylko przerwać nieprzyjemną ciszę. – Pewnie wypłynie za niedługo, jutro albo pojutrze. Dobrze wiecie, jak kapłanowi zależy

na godnym pochówku. Nie pozwoliłby, aby zwłoki wały się po brzegu.

– Jemu chyba bardziej chodzi o to, że wieś jest biedna i nie stać nas na wynajęcie łowczego. – Miłka podłubała palcem w nosie. Dobromira spojrzała na dziewczynkę z zaciekawiona. Czasami miała wrażenie, że małe dzieci wiedzą więcej niż niektórzy dorośli. W odpowiedzi po prostu wzruszyła ramionami.

– Mam nadzieję, że nie będzie wam przeszkadzało, jeśli odpocznę tu sobie? – spytała po chwili. Dzieci jednocześnie pokiwwały głowami.

Dobromira usiadła na deskach. Pomost skrzypiał przy każdym ruchu. Słońce zaszło za horyzont. Do uszu dziewczyny dolatywał szelest liści poruszanych przez wzmagający się wiatr. Znowu ten szept, pomyślała, przymykając oczy.

Kiedy na plaży zapanował półmrok, Dobromira poleciła dzieciom:

– Wracajcie do domu, po zmroku nie jest bezpiecznie. Wasi rodzice na pewno się o was martwią.

Brzdące popatrzyły po sobie zdziwione, a następnie spojrzały pytająco na dziewczynę, ale Dobromira nie powiedziała nic więcej.

Słońce zniknęło zupełnie, a jego miejsce na niebie zajął blade jak trup topielca księżyc. Mira wiedziała, że od dawna nie powinno jej tu być, ale nie chciała wracać do domu. Coś usilnie trzymało ją przy olbrzymim, ciemnym jak smoła jeziorze. W końcu jednak podniosła się i skrzesała iskrę na pochodnię, którą zabrała z domu, aby choć trochę dodać sobie otuchy podczas powrotu do wsi. Las huczał, a gałęzie łamały się pod gwałtownymi uderzeniami wiatru. Widziała tylko tyle, ile oświetlała

jej pochodnia. Bała się zapuszczać spojrzeniem w nieprzeniknioną ciemność, z której od czasu do czasu dobiegały okropne odgłosy. Modliła się do Swaroga, aby jej wąty – tańczący i uginający się – płomień, nie zgasł. Osłaniała go dłonią, niczym skarb, tak, że płomienie lizały jej dłoń i zostawiały po sobie piekące ślady. Tylko nie patrz za siebie, mówiła w myślach, idź do przodu. Już niedaleko.

Drzewa szumiały coraz głośniejsze. Ręka trzymająca pochodnię trzęsła się jak w gorączce. Płomień gasł nieubłagane, aż w końcu zniknął i pozostawił ją w nieprzeniknionej ciemności. Wiedziała, że to jej koniec. Próbowwała biec, ale ciało nie chciało jej słuchać. Upuściła zgasłą pochodnię i ogarnięta spazmami wściekłości, upadła na kolana, szarpiąc za swoje złociste, portargane przez wiatr włosy. Z jej krtani wydobył się przeraźliwy wrzask, który słyszano nawet we wsi.

– Dlaczego?! – wyrzuciła z siebie. – Strzybog, dlaczego nasza wieś? Dlaczego ja? Co myśmy ci zrobili? – wyła. – Nie byliśmy idealni, ale składaliśmy ci dary, czyniliśmy tak, jak powinniśmy. A ty?! Powinieneś nas chronić, a nie sprowadzać na nas zagładę! Ciągłe zsyłasz na nas wiatr, który szepcze nam nowe nieszczęścia... – Ukryła twarz w dłoniach, a z oczu popłynęły jej łzy. Wreszcie, wyczerpana, upadła na trawę. Wiedziała, że przed wiatrem nie mogła uciec.

...

Obudziła się w dość niewygodnym łóżku. Każdy skrawek jej pleców przeszywał rwący ból. Przetarła twarz dłonią. Zobaczyła na niej ślady poparzeń i w jednej chwili uświadomiła

sobie, że przecież ostatnim razem zamknęła oczy w lesie, a nie na łóżku, które na dodatek okazało się nie należeć do niej. Skołowana rozejrzała się po pokoju, w którym unosił się zapach ziół i kwiatów. Ponownie dotknęła swojej twarzy i poczuła, że górna warga jest w całości oblepiona zakrzepłą krwią. Zadrżała, powoli przypominając sobie wszystko to, co wydarzyło się poprzedniej nocy. Była tak roztrzęsiona, że nie zauważyła, kiedy do pokoju weszła kobieta. Od razu rozpoznała w niej wiejską zielarkę – Irmę.

– Obudziłaś się! Na bogi, obudziła się! – wykrzyknęła kobieta. Do pokoju weszli rodzice Dobromiry i rzucili się jej w objęcia. Dziewczyna nic nie rozumiała.

– Kiedy dzisiaj rano wysłałam nzbierać ziół, znalazłam cię posiniaczoną w lesie. Jak to się stało, że nie wróciłaś do domu na noc? – spytała kobieta pachnąca ziołami. Mira nie wiedziała, jak ma na to wszystko zareagować. Jej pamięć urywała się w momencie upadku na ziemię.

– Córku, ty ino spojrziałaś Strzybogowi w oczy – powiedziała jej matka, kładąc swoją ciepłą dłoń na jej opuchniętym policzku.

...

Wieś była w ruinie. Huragany zniszczyły większość domów i upraw. Ludzie stali się jeszcze bardziej ponurzy niż zwykle. Gderali, narzekali i zaklinali się na bogów. Jedyłą osłodą ich życia były coraz to nowe plotki o tym, jak Dobromira, córka kowala, stanęła oko w oko z bogiem wiatru i przeżyła całą noc sama w lesie, podczas gdy nad nią szalała wichura. Może ona jakie czary uprawiać umie, mówili niektórzy. Prawda była taka,

że nawet sama Dobromira nie wiedziała, w jaki sposób udało się jej przeżyć. Pamiątką po tym zdarzeniu pozostały tylko oparzenia na dłoni, którą dziewczyna starała się uchronić ogień przed niszczycielskim wiatrem.

Minione zdarzenia nie dawały Dobromirze spokoju. Nie mogła patrzeć na zniszczoną huraganami wieś, na cierpiących ludzi, chociaż ci spoglądali na nią krzywo tylko dlatego, że jej udało się przeżyć. A wiatr wcale nie przestawał wiać. Dął coraz mocniej, aż w końcu ze wsi wywiał i Dobromirę w poszukiwaniu odpowiedzi na dręczące ją pytania.



Hania Wasilewska

(tylko)

omijam się w lustrze. czuję na udach i łydkach, że mam na sobie spodnie, czuję, że mam plecy, ale ich nie widać, bo jak widać to „aż można od nich ochujec”. w niektórych momentach jestem cała lub w częściach właśnie aż, potem jestem tylko, w międzyczasie, chociaż, nawet, po prostu. jestem swoją klątwą i karą, jak syzyf, rozplaszczam się na wzgórzu pod ciężarem głazu kobiecości. pęcznięję, wstaję, pcham go od nowa.

jak minę już lustro, to schodzę po schodach i nie patrzę, ale czuję, że na stopach mam skarpety, wsuwam na nie buty, zakrywam plecy kolejną warstwą, maskuję się i ogrzewam. zjadam powoli kanapkę, bo to lepiej, żeby nie gryźć za szybko. łykam witaminy, których podobno nie powinnam. tak mi powiedział. no ale łykam. rzęsy maluję w lusterku w samochodzie, wtedy trochę patrzę, pusto to wygląda.

myślę o tym, co gdyby rozpalic we własnym ogródku ognisko, zapalic papierosa, co gdyby otworzyć drzwi, kiedy jadę, co jeśli wystawię rękę i zsunie mi się z palca mój złoty pierścionek i nigdy nie wróci. co gdyby kogoś zapytać, przytulić, co gdyby się mniej zastanawiać. co gdyby zignorować pokutę. w końcu nie jestem winna, nie temu, a jak jestem, to co gdybym nie była. co

jeśli przepadnę, co jeśli dopadnę, popadnę, odpadnę, wypadnę, podpadnę, na zawsze, na dobre, z gry, niewłaściwej osobie. myślę o miesiącach i opuszczam szybko, żeby wystawić rękę i zaryzkować pierścioneł, podśpiewuję trochę do marszczącej brwi muzyki, wymieniam z mojego miejsca pasażera przyzwyczajone już zdania, przyczajone na końcu mojego języka gdy tylko wybije 7:30. czy się wyspał? zdążył zjeść? czego by chciał, w co się dziś zmieni, o czym pamięta, w jakiej przestrzeni będzie brał wddech i wydech, a w końcu wyzionie. odkręcam dla niego butelkę wody, z której bierze łyka, zatrzymując się zapobiegawczo na żółtym świetle. i to wszystko to pierdolenie i całkiem się rozśmieszam.

zatapiamy się w tym i w podobnym, z tamtym lub potem innym, żebym była na ten jego moment i na rozgrzanie, żeby on był na chwilowe dodanie sił i potem dopiero (za miesiąc, lub więcej), żeby mógł mi wyszeptać, że jest głazem i spada, bo wcale nie ma siły (choć tak właściwie to już wiedziałam i źle mu szło udawanie i to ja nie mam siły, żeby łykać i kiwać i wierzyć, więc puszczam), że musi mnie rozmiarzyć po raz kolejny za tę słodką głupotę. bo tak już jest, bo on jest mężczyzną (a to kobiecie się ludzić) więc to chore, gdyby miało być inaczej, bo to normalne, żeby ochujec od pleców i to oczekiwane, żeby myśleć o mnie nagiej. i czemu się dziwię, przecież jestem człowiekiem. człowiek to ciało i człowiek to mózg, to pulsujące zwierzę.

a tonięcie samemu wcale nie jest mi bliskie, więc zostaje odłożone gdzieś w liście na później, aż złapię za ogon swój własny początek, teraz w mrowisku stymulantów, to z nimi się bawię w berka i chowanego. przesypuję się przez podobnych do mnie i różnych, kradniemy sobie momenty. jestem chyba w transie,

myślę, przeszukując torebkę, wydając pieniądze. jestem chyba. to nowa premia, i nawet gratis.

składam się z wody i się nią wypełniam, więc płynię i we mnie i ze mnie i po mnie i płynę też na samym końcu ja. kiedyś miałam silniejsze uda i łydki, ale wciąż odpychają mnie wystarczająco do dna, żebym mogła na nim odpocząć. tam też się rozplaszczam. cała zanurzona i skąpana pewnie wciąż wyglądam zjadliwie. sama podaję sobie ręcznik i sama rozczesuję skołtuniony chlor ze skalpu, palcami, grzebieniem. potem wiatr wślizguje się głośno w mój mózg, bo go nie dosuszyłam, aż we mnie dzwoni. trochę się za to przeklinam, bo to z pośpiechu i głupoty.

(z)używam się i tylko wtedy lubię, że człowiek to ciało, jak odpycham wodę kończynami, jak biegnę, jak gram, jak gnam na rowerze. tylko wtedy to lubię, kiedy tylko ja. kiedy niedotknięta, kiedy głaz czeka na mnie chwilę za rogiem, ale jeszcze nie. kiedy maluję sobie paznokcie, to takie dziewczęce, kiedy głośno śpiewam, smaruję się kremem, tylko dla siebie. kiedy zamawiam deser i zasypiam późno w nocy, nie przepraszam, że nie odpisuję i sama siebie bujam na huśtawce i nie po to, żeby poczuć na plecach dotyk, tylko żeby lecieć, cieszyć się, wyskoczyć i od nowa.

przypięta pinezką do jedyne go zadania wiruję dookoła kamienia syzyfa i nawet w tym jestem dla kącika ust i końcówki brwi i średnicy źrenic i nawet tam będę ściągając łopatki, koszulę i spodnie i jeszcze i wzrok. będę płaszczką na zbyt śliskich dla niej kafelkach, nabrzmiałym balonem z zabawnym obrazkiem i aż do rozpuku rozbawiona swoją karteczką będę tańczyć i tańczyć w rytm, który wpadnie mi w oko, wywoływać och i ach ale żartobliwe. będę każdą po kolei i zmyśloną partykułą,

wykrzyknikiem, obnażeniem, zapałką, która podtrzyma ci oczy, włóknem, które na siebie nawiniesz, będę przesadzać, zacieka-
wiać, kobietą być, i koniec!



Wiktoria Rycerz

Powietrze

Kiedyś, o godzinie dwunastej, gdy bez powodzenia próbowałam włączyć kolejną kartę w mozolnie budowany przez całe życie domek z kart, usłyszałam świst. Być może nie był to jednak świst, tylko gwizd albo szelest, może wybuch albo krzyk. Stałam w salonie. Czyżby pleśń chciała zawładnąć także tym pomieszczeniem? Odczułam jakieś drganie, przecinające powietrze wokół mnie, lecz nie byłam pewna, czy to ja wydałam z siebie ten dźwięk. Jak mogłabym? Każdy dźwięk musi zostać wyartykułowany, musi mieć początek. Każde tyknięcie zostaje obwieszczone przez usłużnie poruszający się zegar, nie ma ono prawa pojawić się samoistnie. A przecież nie posiadam ust, języka, gardła, a w nim strun głosowych. Mogę wyobrazić sobie tylko te u gitary, które z niej wyszarpano i ku ich konsternacji wepchnięto w nieznane im miejsce gdzieś we mnie. Tłoczą się tam i ściskają razem, blokując najmniejszy przepływ powietrza w milczącym proteście przeciwko brakowi własnej suwerenności. Na to właśnie wykorzystują całą swoją energię i tak aż do dnia, w którym wrócą na swoje miejsce, do gitary, by ponownie oddać się melodii delikatnie s z a r p a n y c h akordów. Ciekawe, czy wiedzą, że taki dzień zapewne nigdy nie nadejdzie?

Ale to tylko całkowicie nieistotne wyobrażenie, bo przede mną nie ma żadnej gitary. Nawet takiej bez strun, bo po co komu wybrakowany instrument.

Wydaje mi się, że mam struny głosowe, gardło, język, usta. Nigdy jeszcze nie przemówiłam, ale z nimi nareszcie mogłabym to zrobić. By powstał dźwięk, potrzeba mi jeszcze powietrza, które w swojej potężde również nakreśla kształt rzeczywistości. Czasami zatrzymuje się, wypełnia pory i pobudza krew, gotującą się pod skórą. Otula moje biodra i ramiona słonecznym ciepłem, delikatnie rozbudza, ale i uspokaja. Na mą twarz pluje chłodem i wyciska słone łzy. Poluje na moje dłonie, by rozpruć ich skórę i przepleść ją lodem. Zdarza się, że powietrze po cichutku prosi mnie o obrocik i uradowane rozbrzmiewa wokół, kiedy w skutek tego ż ą d a n i a wcielam się w niewinną baletnicę. Innym razem huczy i każe się kłaść, a kiedy nie p o l e g n ę od razu, rozbija się o wszystko dookoła: takim sposobem w niebezpieczeństwie znajdują się garnki na płocie, pobliskie dachy, czy okiennice. Bębni i tarabani, ryczy i dudni, aż mnie przewróci i przypomni, że bez niego nie mam nic.

Kwiat w szczycie swojego rozkwitu nie musi o sobie przypominać, bo każdy, kto mija go lekkim krokiem, wie, że tam jest. Zwraca na siebie uwagę wyrazistymi barwami, perfekcyjną proporcją, czy ponętnymi zapachami. Wie, kiedy ma się rozwinąć, by mógł zostać powitany owacjami na stojąco. Zachowuje się, jak powinien, dlatego nigdy nie doświadcza nieprzyjemnego wrzasku powietrza. Wichura jest mu kompletnie obca, bo przebywa w jasnej harmonii, kołysząc się na wietrze od momentu narodzin najdelikatniejszych pączków. Zwiędłe kwiaty nie pamiętają czasów swojego piękna, tak jak nikt nie pamięta o ich

istnieniu. Mogą o sobie dawać znać tylko wtedy, kiedy przekłete, wędrujące powietrze, je zauważy. Zapewne trąca je tylko przypadkiem, szeleszcząc pomiędzy cudami. Zdane na zwykłe zrządzenie losu, po prostu się poruszają – w prawo, w lewo i w miliony innych nieznanych kierunków. Nikt o zapomnianych nie wie i nikt ich nie widzi – dlaczego więc miałyby istnieć?

Kiedyś zrobiłam sobie nadprogramową przerwę, krótką jak gwizd. Odłożyłam karty, wyszłam z salonu, może budowa mogła poczekać? W kuchni obok, w jednej z szafek, a może w lodówce, zamrażalniku albo kredensie... Zresztą nieważne. Miejsce, w którym znajdowała się karta, było tak samo paskudne, jak wszystko w tym pomieszczeniu. Nie było w nim nawet kąta ocalałego przed stale namnażającymi się zarazkami i brudem. Tych ścian od dawna nie można było przeznaczyć do ludzkiego użytku, bo prosperowała na nich cywilizacja pleśni. Grzybnia, podbijając każdy kolejny centymetr kwadratowy przestrzeni, wydawała z siebie pisk. Był on tak wysoki i niesłyszalny dla ludzkich uszu, że gdyby nie wzbudzał w przygodnym gościu narastającej migreny niemożliwej do zniesienia, nikt nie byłby go świadomy. Wytwarzane przez tę rozprzestrzeniającą się populację fale dźwiękowe wkradały się i zajmowały miejsce w każdej szparze organizmu, jaką tylko znalazły, powodując paraliż. Pomyślałam, że wszystkim, którzy niezdolni do niczego innego, zapuściliby się do tej kuchni, przyłączając się do przeszywającego pisku szaleństwa, z pewnością wybuchłyby głowy.

A więc kiedyś, pod kuchennym oknem, brudnym i porysowanym, zadziwiająco niechlujnie umyтым (kto je czyścił?), natrafiłam na wyglądającą znajomo kartę do gry. Mimo iż, odkąd

sięgam pamięcią, budowałam z tych kart mój domek, nie zauważyłam, że był wybrakowany. Zguba pochodziła jednak z jedynej talii, którą posiadałam od samego początku, uświadamiając mi jej niekompletność. Z g u b i o n a była jedna z Królowych, niewątpliwie tych czerwonych. Siedziała na parapecie, wsłuchując się w odgłosy otaczającego ją ekosystemu. Roztaczała intensywną woń dymu. Utrzymywała, że to wcale nie z powodu papierosów, tylko nowej światowej mody na perfumy dymne. Dzięki specjalnej formie ich cząsteczkom łatwiej było wczepić się w nosiciela, zostawiając na nim swój zapach i dodać mu kilku dodatkowych k i l o g r a m ó w. Było to nowe pachnidło, które – jako wzorowa dworska dama – musiała posiadać.

Inaczej byłaby warta nie więcej niż te samotne, bezwonne, uschnięte kwiaty i powinna by wrócić do talii, gdzie jej właściwe miejsce.

Zapytałam, czy kiedyś zawita do kompletu na nowo?

Nie. Już jej się tam znudziło, a mnie w ogóle nie powinno być w kuchni. To nie było miejsce dla mnie.

Miała rację, zapuściłam się za daleko. Poczulałam specyficzną odmianę grozy i wstydu. Jak mała dziewczynka przyłapaną na grzebaniu w nosie i bez słowa, nie pojmując dlaczego, wysłana do kąta.

Musiałam opuścić tę zapleśniałą kuchnię, bezszelestnie, tak, by nikt nie dowiedział się, że kiedykolwiek tam byłam. Uważnie patrzyłam, jak moje nogi same stawiały kroki. Każdy kilometr był sumiennie n a l i c z a n y, odkąd odstępowały od przestarzałych konwencji podległości mej władzy. W ten sposób ich praca była bardziej e f e k t y w n a. Każdy z mięśni idealnie współpracował ze ścięgnami, stawami, kośćmi, kosteczkami. Lśniącą,

jędrna skóra niesplamiona już cellulitem cudownie eksponowała każdy skurcz i rozkurcz: obraz prawdziwie d o c h o d o - w e j męskości. Prawa, lewa, prawa, lewa – marsz nóg dyktowany był przez sztywno określony, stały rytm optymalizujący ruch – prawa, lewa, prawa, lewa, prawalewaprawalewaprawalewa. Wiem, że na mnie krzyczały, bo je spowolniałam. Ten krzyk mnie przeraził, ponieważ zwracał na siebie uwagę powietrza. Pragnęłam, aby umilkły. Nie mogłam ryzykować, by mój pobyt w kuchni został spostrzeżony. To ja powinnam się wydzierać na nie, że tak hałasują! Chociaż to nie one posiadały usta, gardło, język albo struny wyrwane z gitary, ale mogły tarabanić do woli! Nie miały nic do ukrycia, żadnych wykroczeń! Strach i gniew zamroziły mnie. Przestałam widzieć, jak wyglądała droga, którą właśnie przebyły, straciłam poczucie tego, jak długo szły. One zaś były poirytowane – odczuwały przedłużający się ból spacerowania, jakbym sama torturowała je przemierzaniem dywanu igieł.

Zatrzymałam się. Uradowane stopy uwolniły się ode mnie po wykonaniu zlecenia. Nie mogłam wymagać, by ze mną zostały. Relacje pomiędzy klientem a specjalistą mogą być problematyczne i powodować spadek efektywności usługi.

Wygwana z kuchni, wróciłam do malutkiego saloniku. Wznowiłam budowę mojego domku z kart. Pragnęłam umilić sobie tę czynność jakąś melodią, jednak przekonana o niemożności wydobycia z siebie dźwięku, musiałam zadowolić się ciszą. Zegar wybił kolejną z rzędu godzinę dwunastą. Stał przy mnie: alarmował, gdy tylko powietrze przypomniało sobie, by wprawdzie wskazówki w ruch. Mój domek, tak jak wadliwy zegar, nie

prezentował się już okazale, mimo iż do budowy używałam wciąż tego samego zestawu składającego się z pięćdziesięciu jeden kart. Jego mury zagwizdały niecierpliwe, domagając się kolejnej karty. Tym razem jednak musiałam się poddać, bo w mojej dłoni widniała królowa pik, a dom przyjmował obecnie jedynie królów. Reguły gry w p a n a, według których postępowała budowa, zabraniały dokładania kart poza ich odpowiednią kolejnością. Zastój lub cofnięcie się były niedopuszczalne. Nie mogłam już nic zrobić: ani dołożyć damy, ani cofnąć się na poprzedni etap budowy. Wyrzuciłam ją, dlaczego miałabym trzymać w talii niepasującą kartę?

Nagle w moją świadomość wdarł się niezidentyfikowany dźwięk:

Tyk, trzask, trzask, tyk.

Stęk, skrzyyp, skrzyyp, stęk.

Nie, to przecież nie tak!

Nie wiem, jaki dźwięk może wydawać powietrze k o ł a - t a j ą c e s i ę o człowieka, ale stał tam: w wejściu do mojego domku z kart. Brakowało mu oczu i nosa. Być może je zgubił, oddał, zapomniał bądź przykrył. Łatwo mu było nie przejmować się wzrokiem, bo suche powietrze nie podrażniało i nie zakłócało p r a c y źrenicy, lecz gładko usuwało się z jego drogi. Tylko dolna część jego twarzy była widoczna: popękane i poprzegryzane usta oraz otaczająca je broda, która nawet z pewnej odległości szorstko g r z m i a ł a. Koło niego pojawił się drugi – dokładnie taki sam, ale bez brody. Skóra wokół ust tego mężczyzny lśniła, wręcz s z c z e b i o t a ł a swoją gładkością. Choć nie wiedzieli o tym, to zawierały się w nich dźwięki,

które mogłyby tworzyć nie tylko chaotyczny huk, lecz piękną melodię.

Zaczełi mówić: Domek był za mały, niesymetryczny, układam go za wolno, najlepiej go zburzyć i zacząć od nowa. Karty należy przecieź układać w optymalnym tempie co dziesięć sekund, inaczej to wszystko nie ma sensu.

Wypowiadane przez nich słowa wpadały do moich uszu, zataczały w nich kilka s k o ł o w a n y c h kręgów, aż natrafiwały na błonę, stanowiącą dla nich trampolinę. Po kolei ze świstem odbijały się od niej i wypadały na zewnątrz z taką mocą, jakby ta bariera doświadczała najcięższego z możliwych ładunków.

Nagły grzmot przetoczył się przeze mnie: już wiedziałam, co przynieśli ze sobą ci nieznajomi. Przeraziłam się. Oto razem z nimi przywleкло się tutaj rozsierdzone powietrze, które lada chwila miało przerodzić się w wiatr. Coś zaszeleściło, zagwizdało... Wiedziałam, że jest już za późno i wszystko runie: mój domek z kart, stary zegar wybijający godzinę dwunastą, kuchnia opanowana przez pleśń i ta nieszczęsna Królowa wśród niej uwięziona. Bezapelacyjnie znikną zwiędnięte kwiaty, a ja z nimi. Może nawet ci dwaj mężczyźni nie ostaną się wobec szalonego wichru, który sami tu przywołali?

Wiatr p o r w a ł ich na kawalki. Mimo nieskończonego strachu, moja uwaga skupiła się na rozczłonkowanych pozostałościach, teraz formujących się w jedno pokraczne ciało. Choć było w posiadaniu ust, może języka, gardła i strun głosowych, było już za późno by powietrze chciało ich słuchać.

Gdy przyszła wichura i oni zniknęli bez d ź w i ę k u. Najwyraźniej jednak na niego nie zasłużyli. Sprowadzili ze sobą huragan, który rozprzestrzenił swój gniew. Dominował i wypełniał

mój dom grzmotami. Burzył każdą delikatną melodię skomponowaną przez łagodny powiew. Nic już nie było godne uwagi i pamięci, nic już nie było piękne. Dopiero wtedy wszystko ustało. Strzępy rzeczywistości zatrzymały się bezszelestnie w czasoprzestrzeni.

Przede mną, na miejscu wcześniej zajmowanym przez mężczyzn, znajdował się pocisk, w który przekształciło się ostatecznie pokraczne ciało. Kołysał się w nicości. Próbował namierzyć mnie, jak ogłupiały kompas wyznaczyć północ, nie wyczuwając jej jednak, skakał w powietrzu: trochę w górę, troszeczkę w dół, w lewo, nieznacznie na prawo, po skosie. Nie mógł mnie znaleźć. Wydał z siebie świst, jakby chciał kłócić się z nowym, cichym porządkiem. Ktoś jednak zadecydował – koniec. Odebrał pociskowi impet i ogłuszył.

Zostałam sama w bezdźwięcznej martwocie, skazana na niepamięć o wypełniającej mnie muzyce.



HMS

Krzysiek Sacharuk

Ostatnia prosta

Wstaję. Łeb, smród. Łeb pęka. Język jak wyschły, zgniły owoc, chropowaty. Podniebienie zryte. Łeb pęka. Otwieram oczy, pierwsze co widzę, to smuga światła wpadająca przez uchylone okno. Lekki jesienny wiatr rozrzedza smród moich własnych wyziewów i dodaje mi trochę życia.

„Więc wstaję... wstaję? Nie wstaję. Jeszcze spać? Zniknie cierpienie we śnie? W tym pustym domu nic nie znika” – myślę po chwili. Wstaję, ale zawrót głowy sprawia, że od razu siadam z powrotem. Rzygać mi się chce, ale zdaję sobie sprawę, że nie mam czym. „Wstawaj idioto”. Jak pływak rzucam się z łóżka i ignoruję błagania swojego ciała. Patrzą dokoła i widzę, w jak ogromnym syfie przyszło mi żyć. „Przyszło mi?” – pytam samego siebie. Czyja to wina, że moja sypialnia zavalona jest brudnymi ubraniami, rozkładającym się, często nietkniętym nawet jedzeniem i popiołem? Czyja to wina, że mam takiego kaca i ledwo chodzę. Moja? Świata? Miłości? Czyja to wina?” Wina – odpowiadam sam sobie i uśmiecham się z tego mojego lingwistycznego żartu. Ubieram pierwsze, co znalazłem na podłodze. Podchodzę do biurka, łapię paczkę papierosów i bezsilnie biorę jednego w dłoń. To dym, nie jesienny wiatr, wreszcie budzi

mnie do życia. Patrzę na biurko. Cieszy mnie, że przynajmniej ono jest czyste. Sypialnia jest wiecznie brudna, lecz moje małe drewniane biurko nigdy. Może prócz filiżanek po kawie. Liczę je, powoli strzepując popiół do najbliższej z nich. Raz. Dwa. Trzy. Cztery. Pięć.

„Cztery to nie tak źle. Dopóki jest miejsce, nie jest tak źle” – myślę, biorąc moją nową popielniczkę w dłoń.

Idę do łazienki, patrzę w lustro. Widzę siebie i widzę skutki picia wina. Twarz stara i nieogolona, zapadłe zielone oczy i czarne loki, opadające mi na chude policzki. Widzę siebie i tak się sam sobie nie podobam, że byłoby mi przykro, nawet gdyby czaszka mi nie łupała, gdyby opuchły mózg przestał naciskać mi na kości. „Na razie masz tylko notes pełen nienapisanych wersów i dużo filiżanek po czarnej kawie. Właśnie. Kawy mi potrzeba” – myślę, po czym ochlapuję twarz zimną wodą z kranu.

Wychodząc zerkam raz jeszcze na własne odbicie, wciąż wierząc, że literatura jest lustrem. Zerkam na twarz, schodzę spojrzeniem w dół, na ledwo widoczne, przebijające skórę obojczyki. Leniwie, raz jednym, raz drugim okiem, łypię na fałdy mej przylegającej do ciała skóry, na każdy centymetr kwadratowy piersi, z pełną uwagą i świadomością. Skanuję pierś centymetr po centymetrze z uwagą i świadomością tak pełną, że każdy inny cal prócz analizowanego staje się dla mnie w tej chwili zupełnie niewidoczny. Patrzę na mostek i z ignoranckim spokojem zdaję sobie sprawę, że jest czarny. Spokój przechodzi szybko, gdy widzę, że to żadna pomyłka, żadna artystyczna scysja, nawet nie jest to przewidywalna smuga brudu na lustrze. Odrywam wzrok od lustra i patrzę na mostek już bezpośrednio. I czuję, że serce wraz z kotwicą płynów przechodzi mi przez przełyk do gardła.

„O ja pierdolę” – szepczę, zdając sobie sprawę, że na mostku widnieje tatuaż, którego jeszcze wczoraj wcale nie było.

Przymykam oczy, pozwalam mojemu ciału opaść do przodu jak zwodzony most. Uderzam czołem w lustro i zsuwam się na ziemię.

„Pewnego dnia padniesz na podłogę, płacząc” – przypominam sobie słowa brata. Miał rację. Nieważne kiedy, każdy padnie kiedyś na ziemię z płaczem. Epicki moment, lecz wciąż brakuje mi w nim uniwersalności. W mojej podłodze jest pewien element niedorzeczności. Wiedziałem, że to się kiedyś stanie, ale jest dużo gorzej, niż myślałem. Bo zamiast płakać zerkam na miejsce, gdzie ściana łazienki spotyka się z podłogą i stwierdzam, że tragicznie ją pomalowałem.

Wstaję, opadam na kolana, znów wstaję i wzdycham. Życie to sztuka wstawania z kolan, pomyślałbym, gdybym tak panicznie nie wstydział się sentencji wskazujących na wymyślną pseudofilozofię.

Ale teraz mam to głęboko w dupie: wiersze, alkohol, imprezy, dramaty i tanie narkotyki to nic innego niż preteksty, by wprowadzać się w pewne stany, w których pojmować mogę istotę życia. Daje mi to okazję, by odkrywać życie w sposób precyzyjnie indywidualny. By wstawać codziennie rano i pojmować, potrzebuję coraz to nowych, niezmiernie dalekich perspektyw. Jako pisarz jestem nieskończenie mnożącym się obserwatorem. Odległym, wiecznie mnożącym się obserwatorem, a to jest tylko jeden z moich 622 upadków.

Patrzę więc raz jeszcze. Taka świnia na mostku. Mała, z tęgim czarnym tułowiem. Ogon ma jakby przygryziony, a jej krwisty pysk wyciąga się, zupełnie jakby szukając ofiary. Dziękuję więc

mojej nowej świni za kilka fajnych, klasycznie łaazienkowych refleksji.

Nie jest to pierwszy i możliwe, że nie ostatni raz, gdy robię sobie tatuaż przez przypadek.

„Przypadek? Może to nie przypadek, może to moja pijana persona (którą uporczywie zawsze uważałem za bardziej świadomą ode mnie) z braku innych możliwości prowadzi ze mną cielesny dialog” – śmieję się w duchu i wychodzę z łazienki i lustra.

„Notes pełen nienapisanych wersów. Fajny wers. Ale mam pisać o moim niepisaniu? Wydać małą książkę, zbiór przemyśleń bardziej, z jakimś takim ładnym, kradnącym wzrok tytułem typu „Jak nie zostałem poetą”. Nie, nie, to już było. Setki razy było. Sam siebie nie przekonam, że to coś warte, co dopiero jakiegoś wydawcę”.

Wchodząc do kuchni, czuję jak cały marazm i pesymizm spływa ze mnie wraz z promieniami słońca. Już lepiej. Koniec poetyckiego narzekania. Zaparzam kawę. Każdą akcję wykonuję bezwarunkowo, z idealnie wyćwiczoną rutyną. W mojej kuchni jest ładniej. Lepiej. Powietrze jest przyjemniejsze i bogatsze. Światło porannego słońca wpada do niej przez okno, przez białe firanki, jak strzała przebija stęchłe powietrze i rozświetla mi twarz. Wlewając kawę do świeżej filiżanki mało nie pomyliłem jej z moją nową popielniczką. Ta prawie pomyłka przypomina mi, co muszę dziś zrobić. I niezmiernie psuje mi to ledwo poprawiony humor.

Iść do jakiegoś grubego w połowie łysego korposzczura. Człowieka, który dawno powymieniał synapsy na grupę naćpanych kołowrotkiem chomików. Człowieka, z którego życia można

wyjąć tydzień, miesiąc, rok, dekady całe, i nie tylko całemu światu ale jemu samemu nie zrobiłoby to żadnej różnicy. I ja mam do kogoś takiego iść i z cyferką na kartce, z kartką w rękę, błagać o pracę?

Klnę pod nosem, cicho, ładnie i bez akcentu. Zamykam okno i zasuwam firanki. Piję gorzką kawę. Bo dziś gorzki dzień. Mam kaca, a na kacu zawsze wszystko jest nieprzyjemne i brzydkie, co z kolei czyni to idealnym dniem do wypływania atramentu w literki

Słyszę dźwięk brzęczącego telefonu. Gdzieś w moim pokoju. I mimo że dzwoni zakopany gdzieś w górze poduszek i ubrań, mimo że dzwoni z innego zamkniętego pomieszczenia, to od razu czuję, jak ten dźwięk wyprowadza pełen frontalny atak na moje zmysły. Więc wracam. Wracam do sypialni. Na ślepo wyczuwam telefon pod spodniami i odbieram.

Taaaaak? – jęczę jak zarzynana świnia.

Mam nadzieje, że cię nie obudziłam.

Bynajmniej – czuję, jak każde słowo wbija się wibracjami w moją czaszkę. Ile ja bym oddał, by kupić sobie teraz chwilę ciszy.

Jasne. To teraz, kiedy już łaskawie raczył żeś odebrać, mam do ciebie kilka pytań.

A może pogramy w głuchy telefon?

Jakiś ty zabawny, jeszcze trochę i uwierzę, że byłby z ciebie dobry dramaturg.

Nie mam na ciebie siły.

Jadowity jak zawsze. Jak cię tu nie kochać.

Poczułem nagle przyjemność nowej, rozszerzającej się perspektywy. Gdzie nie spojrzę, gdzie ucha nie nadstawię, ktoś

wyglasza błyskotliwe komentarze o mojej osobie. Najpierw mój łeb, potem pokój mój brudny, kartki zeszytów drących się jak dzikie psy, nawet moja nieogolona morda chce mi dziś coś powiedzieć. Przeżywam raptem godzinę takiego grzechotania, takiego prucia się i darcia, po czym skarb mój do mnie dzwoni, żeby mnie jak widelec wrzucić do młynka elektrycznego

Po pierwsze, mniej ważne, zabrałaś mnie do najnudniejszych ludzi, jakich poznałem w tym tygodniu. Po drugie, już ważniejsze, poprosiłaś, żebym dotrzymywał ci tempa. Po trzecie, myślisz, że można by autorefleksję nazwać blenderem ?

Po trzecie: nawet jeśli można, to bym cię w tym blenderze na najkwaśniejszą papkę mieliła, a po pierwsze i drugie to: no i ?

Zupełnie nie rozumiem twojej frustracji. Powinnaś być w stanie gorszym od mojego. Poza tym myślałem, że czerwone wino to afrodyzjak.

No przecież. Jakże nie mogę być śmiertelnie zakochana. Szczególnie wczoraj.

Nie jestem odpowiedzialny za pijanego mnie. Niech on się tym zajmie. Trzeźwych zostawmy w spokoju, daj nam Panie Boże, amen.

Jakich znowu trzeźwych?

Nie czułem ani potrzeby, ani ochoty na to odpowiadać.

Dobra, koniec tego. Jadę do ciebie, będę za kilka minut.

Na te słowa zawartość żołądka odchodzi mi do gardła. Uwielbiam tę kobietę, ale po kilku latach związku owocnego jak *sal-sola tragus*, nauczyłem się, że gdy jest w złym humorze, nie ma kwiatu, słodkości, wierszy bądź barwnych monologów, które mnie uratują. Czułem, że zostaną pożarty w całości, przelknięty

jak wąż przelyka szczura. A do jej nowego eksperymentu zostało mniej niż kilka minut.

Otwieram okno na oścież, odpalam papierosa i pałę, dlaczego pałę? Nie wiem. I kiedy tylko się nie dowiedziałem, to zauważyłem, jak znajoma postać gapi się na mnie zza okna. Był to wysoki, przystojny młodzieniec o dziwnie kobiecych lecz kształtnych rysach twarzy, z anormalnie pięknymi, kędzierzawymi złotymi włosami. Mi się zdawały złote, w rzeczywistości są pewnie brązowe. Więc włosy miał piękne i brązowo-złotawe, spadające w nieładzie na wysokie czoło. Wyraz twarzy ponury, zły prawie, lecz jednocześnie pogodny. Nawet kilka piegów na orlim, zabawnie wręcz prostym nosie. Pułapkowatą miał tę twarz.

„Ale mam zajebisty wzrok” – pomyślałem.

I jak tam, drogi panie za oknem?! – krzyczę, mało nie wypluwając płuca.

Co za oknem? No, tutaj są kłopoty istotne, tu się cały szerszy kontekst wyłania!

To jest dla mnie teraz mało istotne, więc tak w największym skrócie, dosłownie w paru zdaniach!

Tu jest wszystko, proszę pana, na zakręcie, tu wszystko stoi, proszę cię, na głowie. Tu się jakby mniej słucha, za to mówi się więcej...

Ha! Co zabawne o tyle, że wszyscy tłuką tę samą opowieść – przypomniałem sobie, że lubię te nasze parapetowe konwersacje.

Sam żeś to wymyślił?!

Jasne, że nie. I nie świeć mi polotem, bo dobrze wiem, gagatku, że też sam na to nie wpadłeś! – krzyknąłem, przypominając sobie, że wolę, gdy nasze konwersacje są krótkie.

Usłyszałem pukanie do drzwi.

Postanowiłem, że zanim otworzę, spojrzę na kolegę raz jeszcze. Patrzę i widzę, że kiedy ja się tu roztapiam i drę w sobie samym, kiedy istne katusze hiobowe przechodzę, kiedy kładę się pod bronę i jeszcze chwila i mnie kanonizować będą jako męczennika miłości, to chuj ten patrzy i śmieje się ze mnie.

Widzę, że pogody, proszę pana, tam niewiele w prognozach!

Otworzyłem, zastanawiając się nad poprawnym podejściem do obecnej sytuacji. Objąć? Pocałować? Kawy, wody czy herbaty? Żartem jakimś chlasnąć czy pochwalić się prozą?

Otworzyłem i ujrzałem same niebezpieczeństwa, więc zrezygnowany bez słowa, otworzyłem szerzej prosząc jakby błagalnie, by weszła. Przechodząc w milczeniu, poczułem zapach łuskowatego bukietu kwiatów, tak silnego, że oczy zajęły mi się łzami – w przyjemny sposób.

Podeszła powoli do krzesła, jedną ręką podsunęła je ku sobie, potem tą samą ręką objęła kant blatu i bardzo powoli opuściła się na krzesło. Oстрым ruchem założyła jedną nogę na drugą. Zdjąwszy długi satynowy płaszcz, zostawiła owinięty wokół szyi ciemnoszmaragdowy szal. Podrzuciła kruczoczną grzywkę z czoła i poprawiła swoje kruczoczarne włosy.

„Jest źle” – myślę, w poszukiwaniu jakichkolwiek przebłysków świadomości z wczoraj. Piwne ślepia wlepione na mnie, a ja stoję i myślę. Uwielbiam intensywność jej oczu, ale przeraża mnie myśl, że oczy te widzą, jakbym był kompletnie przezroczysty. A każda moja myśl była słabością, pułapką, w którą sam nie wiem, że wskakuję obiema nogami. Nigdy nie miałem pojęcia co powie zaraz, i tym razem podniecało mnie to tylko trochę.

No i?

„Jezusie święty z Nazaretu, jest źle”. Gdybym tylko mógł się zakopać. Po co to „no i”, kiedy mi się tu wspaniale siedziało w ciszy. Może zwrócę jej uwagę na coś za jej barkami, i wykorzystując chwilę nieuwagi, walnę susa przez otwarte okno.

Odpowiedz, do cholery.

Może herbaty?

Podziękuję – syknęła, biorąc moją paczkę do ręki i wetknęła papierosa w kącik ust.

Może kawy? – szepnąłem, rzucając się w jej kierunku i odpalając jej papierosa, zanim zrobiła to sama.

Zamknij okno.

Przepraszam... Mam na myśli za wczoraj...

A za co takiego? – ton jej głosu sugerował fortel. Pozbawiony sił i adoracji postanowiłem oddać karty.

Nic nie pamiętam, nie potrafię pić. Nie nadaję się. Mam wrażenie, że zrobiłem coś głupiego i grzecznie prosiłbym, żebyś powiedziała co się wczoraj stało.

Cisza. Jedna. Druga. Czwarta. Grobowa. Morowa. Pojedyncza, przeciągająca się jak struna, krzycząca cisza. Jej zwykle ostry, szybki język odpoczywał. Patrzyła na mnie, jak patrzyły te wielkie waźniaki z teatralnych szkół. Od stóp do głów, czekając na odpowiedź, która była oczywista dla każdego prócz mnie. Czym do cholery jasnej jest średniówka?

Zdałem sobie sprawę, że gdy ta siedzi w purpurowej koszuli i kozakach, owinięta szmaragdowym szalem, ja stoję tu jak głupek, w białych gaciach, półnagi. Zrobiło mi się strasznie głupio.

Dlaczego świnia?

Jaka świnia? – Nie minęło pół sekundy, nim zdałem sobie sprawy z głupoty tego pytania. Poczulem, że zaraz owinie się

wokół mnie jeszcze bardziej. W momencie idealnym na wręcz książkowy techniczny *knockout*...

Nawet pasuje. Przynajmniej twój tatuator wiedział, co robi, chociaż gdybym miała już dyplom, zastanowiłabym się nad pozowaniem studia. Nie można tatuować osoby pijanej, a w twój teatr trzeźwości na pewno nie uwierzył. Poza tym czuję się trochę zdradzona.

Przez moment zastanawiałem się co odpowiedzieć. Jakakolwiek riposta bądź strategia obrony ewidentnie czekała na dnie nie tej butelki. Na ten moment po prostu ucieszyłem się, że przestała się wokół mnie owijać.

Masz szczęście, że w tej aurze nieporadności i szczypcie żaloności jest coś dla kobiet pociągającego. A teraz ubieraj się.

Zostawiając ją w kuchni wlałem pokornie do sypialni, przemykając się jak myszka przez szparę, zachowując powściągliwość, by nie otworzyć drzwi zbyt szeroko. Kuchnia znajdowała się przed korytarzem do sypialni. Ona siedziała, majestatycznie plecami do korytarza odwrócona, nie chciałem jednak ryzykować, że obróci się w złym momencie bądź jeszcze gorzej: odbicie kącika mojej sypialni pojawi się na moment w lustrze, odbiciu ekranu telefonu, w kąciku oka z tyłu jej głowy. Przemykam więc przez szparę i zamykam drzwi. Zamykam na klucz, po cichutku, jak podekscytowany nastolatek, centymetr po centymetrze, żeby bynajmniej jej nie obrazić.

Czuję jak trzęsą mi się kolana, usuwam się więc na ziemię i chowam głowę w dłoniach, biorę głęboki oddech zastanawiając się, czy wziąłem jakikolwiek od początku jej wizyty, czy może czas tej konwersacji spędziłem na nurkowaniu. Jeśli nurkowałem, to definitywnie rzuciłem się na zbyt głęboką wodę.

Boję się, że jest to jeden z tych dni, który spędzę w głębinach, pozbawionych jakiegokolwiek światłości. Czuję, że będę się dziś składał z samych wad, i że nie znajdę żadnego konkretnego pomysłu jak wydobyć się na powierzchnię.

Ciekawe czy to rozpacz i początki kolejnego epizodu depresyjnego, czy po prostu mam kaca.

Wiesz, jak się ubrać!?

Jesteś jak moja matka! – krzyczę przez szparkę od drzwi.

Nie obrażaj mnie. – Poczuję, jak zacisnęła się odrobinę ciasniej wokół mej szyi, że schodzi coraz niżej, poczułem głuchy ból w ramionach.

No więc ubieram się: biała koszula, czarna marynarka, spodnie czarne. Pokój biało-czarny. Aż się wyściubiać nosa nie chce. Znajduję przypadkiem prezent z dzieciństwa, drewnianą muchę z wzorem w rowery takie z dużym przednim kołem. Uśmiecham się, ale nie na długo.

Mam ci, synu, pomóc?

Gaszę papierosa na spodzie prawdziwej popielniczki, bardziej ugniatam niż gaszę. Przemijający impet gestu wygina jego końcówkę i przypala mi zewnętrzną część kciuka. Zasycałem pod nosem. Wcale nie mniej zły.

Przed wyjściem z sanktuarium rozglądam się po pokoju. Rozwalona pościel, sterty ubrań, ocean wypitej kawy. Przed wyjściem biorę notes do ręki i piszę:

zapowiada mi że będzie trochę przepraw
 ta nienapisanych wersów setka
 ten nienapisanych wersów tysięcy
 co patrzy na mnie z tą protest ciszą

trochę cofa i z powrotem napiera
ten nienapisanych wersów ocean

Wychodzę więc finalnie z sypialni, podchodzę już bardziej pewny siebie. Wlepia we mnie krucze oczy. Z niemałą satysfakcją stwierdzam, że chyba nawet jej się w tym wszystkim spodobałem.

Wpadłam na genialny pomysł. Zrobisz coś dla mnie, a ja ci wybaczę te pijane głupoty, i że dziarałeś się u kogoś innego niż ja.

A to coś złego?

Gorszego niż gdybyś poszedł do burdelu wydać hajs z komunii naszych dzieci.

Niech ta myśl zostanie ci w głowie na wypadek jakichś nie-nych instynktów macierzyńskich – śmieję się na głos.

Już ty się nie martw o moje instynkty macierzyńskie, rozbie-raj się – mówi o wiele delikatniejszym i niższym głosem.

Kochanie, słuchaj, w innych okolicznościach byłbym uradowany, ale daj mi coś zjeść – bełkoczę trochę przestraszony, jednocześnie czując, jak ciało mnie zdradza.

Chcesz odpokutować? To zdejmij koszulę, zamknij oczy i kładź się na kanapie.

Zaskoczony i podniecony jak nastolatek, zrobiłem, co mi kazała i przymknąłem oczy. Usłyszałem, jak wyciąga coś z torby, kręci i mąci coś, ewidentnie czerpiąc przyjemność z napięcia, które buduje. Słyszę jak podchodzi do mnie bardzo powoli i kłęka obok. Już podniecony, myślałem by chwalić się moją częsteczką elementarną. Myślę o wytwornych propozycjach,

duzo myślę, kiedy nagle czuję, jak coś delikatnie przebija mi skórę na piersi.

– CO JEST?! – krzyczę, zrywając się z krzesła. Nerwowo macam swoje ciało, szukając źródła ukłucia.

Widzę, jak ucieszona klęczy przy kanapie ze swoją brzęczącą maszynką do tatuażu i jakimiś kalkami.

Co? Chcesz wybaczenia, że poszedłeś pijany w tango do innej tatuatorki? To masz teraz siedzieć cicho i pozwolić, żebym też ci coś wykłuła. Tylko wtedy będę mniej zazdrosna i kwita.

Kiedy jeszcze nie przetrawiłem pierwszego – mówię speszony. Próbuję aktywnie zapomnieć, że mam kaca. Żaden marazm alkoholowy, żadna pocztówka z przeszłości, żaden sen o nocy letniej, ja mam po prostu pełnoprawnego kaca. I nie chcę go mieć, więc udaję, że nie mam. Ale okazjonalne zastrzyki bólu we łbie proces ten mi utrudniają.

– Następnym razem nie pozwalaj, żeby pijany ty wybierał pierwsze razy.

„Och, jakbyś się babo zdziwiła”.

Przynajmniej narysuj coś ładnego.

– Nie rozkazuj mi. Będzie super. Jakież motywy przewodnie? Miłość.

Klient nasz pan – uśmiecha się, Boże, jak ona pięknie się uśmiecha, jak policzki unoszą się na chudej twarzy, podkreślając jej wąskie wargi. Ledwo przymyka oczy i marszczy nieznacznie brwi. I te jej usta uśmiechnięte, oszaleć idzie. Zamordować idzie za trochę takiego uśmiechu jak ambrozja.

No więc morduję i spoczywam. Początkowo o niczym nie myślę. Momenty takie uznaję za coś istotnego i wartego podkreślenia.

O niczym nie myślę i w ogóle mnie nie interesuje, co ona mi tam tą igłą robi. I cały świat niech pędzi, ja pragnę akurat teraz, tutaj, po prostu leżeć. Uśmiecham się.

Nie ruszaj się, bo będziesz miał miłość w czasach zarazy!

Wszystko to takie nierealne. Takie po prostu niemożliwe i nieistniejące. Cały ten moment, relacja ta cała. Nie bardziej to fizyczne i prawdziwe niż pieniądze czy marzenia. Nie ma mnie tu w tym samym stopniu jak jestem. Nie można tego dotknąć, nie można opisać. Równie dobrze można by całą tę sytuację wyśnić czy wypluć wierszem. Cieszę się z nowych perspektyw. Cieszę naprawdę z tych momentów poszerzających horyzont. Mam tylko nadzieję, że nie każdą perspektywę będę zmuszony zaznaczyć atramentem.

Głowa mi pulsuje, czuję jak ciarki wspinają się po plecach. Chłód obejmuje moje palce. Zamykam oczy. Jestem zmęczony. Bardzo zmęczony...

Wstawaj, królewiczu cholerny! Nie mogę uwierzyć, że zrobiłam to za darmo.

Zasnąłem? – Lepkie oczy. Łeb znów pęka ale z mniejszym zapalem.

Zasnąłeś – syknęła, podając mi telefon. Na telefonie galeria pełna zdjęć mojej nowej klatki piersiowej. Moja czarna świnia teraz ciut bardziej zrealizowana, bo w jej pustym pysku pojawił się ogon węża. Nie dużego, wielkości gryzącej go świni. Zielonego, okrytego szmaragdowymi prawie łuskami węża. Wąż średnio zainteresowany pogonią świni, zakręcił cielskiem trzy razy, i sam otworzył pysk, jakby chciał ugryźć kolejny ogon. Czyj? Jeszcze nie wiadomo, ale dzień dopiero się zaczyna. No więc na ten moment mam jeszcze bardziej nową klatkę piersiową.

Która godzina?

To tyle?! Siedzę tu godzinami, oczy sobie wydrapuję, żeby zrobić ci, kurwa, „miłość” na cito, a ty mnie pytasz, która godzina?! Myślisz, że te rzeczy są zmywalne?

Spokojnie, już już. Jest przepiękny i bardzo pasuje. Oczywiście jest piękniejszy niż świnia. Nie czuję symboliki miłości, ale jestem pewien, że z czasem poczuję i zrozumiem. Dziękuję ci.

No ja myślę, do cholery, że dziękujesz. – Położyła się na kanapie obok i poczęstowała mnie papierosem.

Ach, jak wisi między nami to pytanie. Jak wisi! Na żyłce, co się zerwać może po którymkolwiek z tych wspólnych papierosów. Patrzę na nią. Zamknęła oczy, jej papieros już prawie gasnie. Ja to go ledwo co odpaliłem. Ledwo co zacząłem.

Mniej nas łączy niż można by przypuszczać, wiesz? – szepczę do jej ucha.

Gdyby tak wejść w parę detali – to tak. Bo widzisz, matematyka jest twarda w swojej naturze. Jaka by nie była suma chwil między nami, ja wrócę do domu, ty zostaniesz tu na dłużej. – Zrobiła lekką przerwę, zgasiła co miała zgasić, ugryzła się w wargę i powiedziała:

Czemu nigdy nie zaprosiłeś mnie do swojej sypialni?

Bo to nie twój interes, co jest w mojej sypialni – mówię speszony.

Ach... Rozumiem – powiedziała to tak smutnym, kobiecym głosikiem, że zacząłem się zastanawiać, czy to na pewno nie jest celowy, manipulacyjny zabieg. Ale nie chciałem pytać. W ogóle po tych pytaniach straciłem ochotę na rozmowy.

Który to już raz? Który kryzys? Który to już definitywny koniec?

Jest 14.00, więc jeśli chcesz dostać tę pracę, to musisz wychodzić.

Nie chcę.

Chcesz, tylko ci duma zabrania.

Nie, nie chcę. Mam pracę.

W tym świecie barykady stoją już dawno o cztery rzędy mniej, a poeci czy też pisarze, nie stoją na nich zbyt twardo.

Ale dlaczego? Ja nie chcę żadnych durnych pieniędzy, nie potrzebuję ich, bo i tak bym je wydawał na rzeczy, których tak naprawdę nie chcę. Podaj mi jeden powód, dla którego nie mogę pozostać pisarzem?

Bo dawno niczego nie napisałeś.

Napisałem coś przed chwilą, tego ranka. Poza tym cały czas piszę. Muszę patrzeć na świat i widzieć więcej niż ty czy jakaś korporacja odpowiedzialna za sprzedaż, kurwa, drukarek! A potem muszę to zapamiętać i opisać w interesujący sposób, który podobno ukazuje części nie tylko mojego świata, ale mej duszy. Nie ma cięższego zadania niż to, a zobacz: cały czas piszę. Daj mi lepszy powód.

Zastanowiła się chwilę. Bardzo długą chwilę. Wiadome mi było, że to nie koniec konwersacji, że nie wybrała tej ciszy jako odpowiedzi. Lecz nie wiedziałem nad czym tak myśli. Po kilku minutach jej oczy jakby obumarły. Jakby jej dusza poszła szukać odpowiedzi gdzie indziej. Nagle spojrzała na mnie.

Bo cię zostawię.

...

„Który to już raz, który to już kryzys, który to już definitywny koniec...”

Autorki i Autorzy o sobie

Agata Bechta

Gdzieś za jej szarymi oczami mieszka demon, który od dziewiętnastu lat wypływa z siebie historie brutalne, obrazoburcze, niekiedy też zbyt mroczne, aby nadawały się do publikacji.

Konstancja Cegłowska

Lat 15. „Muszę dokonać czegoś bohaterskiego albo wspaniałego, co wszyscy pamiętaliby po mojej śmierci. Nie wiem jeszcze co to będzie, ale rozglądam się pilnie i zamierzam pewnego dnia wszystkich zadziwić” (Jo March, *Małe kobiety*)

Lena Chróścik

Lat 15. Jestem uczennicą klasy pierwszej z ogromnym pokładem wiary w ludzkość. Hobbystycznie obserwuję rzeczywistość i czule ubieram ją w słowa w swoich opowiadaniach.

Hania Czaban

Debiutowała w klasie maturalnej MLO Paderewski powieścią *Cały ten czas* napisaną w czasie pandemii. Studiuje ekonomię

i zarządzanie w Oxfordzie, cały czas pisze. W 2023 ukazał się pierwszy tom jej trylogii *Zakon Ostatnich Światel* pt. *Ostatnie światła gasną*.

Alicja Kot

Lat 15. Byłam kotem, jestem kotem i będę kotem.

Julia Kowalczuk

Osiemnastoletnia niespełniona sportsmenka i wiecznie sfrustrowana gitarzystka, która od czasu do czasu przegrywa jakiś konkurs literacki. Wierzy, że rzeczy warto robić z pasji, a nie dla rezultatów.

Michalina Łata

Lat 18. Inscenizatorka marzeń sennych, które żyją własnym życiem. Często do nich uciekała, a teraz to one rządzą autorskim piórem. Jej ambicją jest wysławić uczucia specyficzne, lecz ulotne i trudne do uchwycenia, jak piórka na wietrze.

Wiktoria Rycerz

Dziewiętnastoletnia entuzjastka mleczy.

Krzysiek Sacharuk

Jestem dużym fanem Franza Kafki, żyję sprzecznościami i kategorycznie nie jestem pacanem, mimo, że naprawdę chciałbym być abstynentem.

Kasia Sochaj

Nowoczesna Słowianka, szukająca słowiańskości we współczesnym świecie. Interesuje się językami obcymi, a w szczególności językiem norweskim.

Robert Szostakiewicz

Lat 17. Autor przepisu na nektar bogów: 300 ml herbaty czarnej, 7 łyżeczek soku z cytryny i 3 łyżeczki cukru – kto spróbuje raz, nie zapragnie w życiu niczego innego. Ekstatyczne doznania gwarantowane.

Kacper Warda

Człowiek, który potrzebuje przyjaciół i poszukuje w sobie siły, aby iść dalej samemu. Przyjaźnię się też z pacanem i przyrzekam, że jestem abstynentem.

Hania Wasilewska

mam prawie 18 lat, kolekcję filiżanek do espresso i często dużo w głowie. czasem o tym piszę. lubię owoce, ciepłe oświetlenie,

detale i chwile. w tych wolnych jeżdżę na rowerze jakby mnie ktoś gonił, gram w szachy, czytam i pytam. chciałabym mieć rybki i mieszkanie z dużymi oknami, nie słodzę kaw i herbat, a na drugie imię mam pola.

Autorzy ilustracji

1. Remi Chibowska – obwoluta
2. Magda Masłowska – s. 7
3. Alexander Rola – s. 15
4. Alexander Rola – s. 25
5. Oliwia Dudek – s. 37
6. Basia Wojciechowska – s. 49
7. Maja Gołąb
(III LO im. Unii Lubelskiej) – s. 65
8. Amelia Chodacka – s. 75
9. Michalina Łata – s. 85
10. Justyna Bronisz – s. 95
11. Kasia Sochaj – s. 103
12. Julia Dacka
(ASP Warszawa) – s. 117
13. Basia Wojciechowska
(absolwentka MLO Paderewski) – s. 123
14. Hania Zamojska – s. 133

Spis treści

Piotr Kalwiński	
Wstęp	5
Agata Bechta	
Fobia wiatru	9
Kacper Warda	
Próba	17
Julia Kowalczuk	
Ona zawsze jest	27
Lena Chróścik	
Przepis na naleśniki	39
Hania Czaban	
Historia o pięciu rękawiczkach	51
Robert Szostakiewicz	
Saudade	67
Konstancja Cegłowska	
Przeurocze dmuchawce	77
Michalina Łata	
Ikaria	87

SPIS TREŚCI

Alicja Kot	
Dom ciotki	97
Katarzyna Sochaj	
Szept wiatru	105
Hania Wasilewska	
(tylko)	119
Wiktoria Rycerz	
Powietrze	125
Krzysiek Sacharuk	
Ostatnia prosta	135
Autorki i Autorzy o sobie	151
Autorzy ilustracji	155



ISBN 978-83-962692-7-0

